**Nr. 33** (1543) Warszawa, 13 sierpnia 1910 r. **Rok XXX.**

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

## POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Złudzenia.

W prasie polskiej wszystkich dzielnic bardzo gęsto zjawiają się obecnie cytaty z pism niemieckich, krytykujących lub wręcz potępiających system antypolski pruskiego rządu.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, że te głosy nie umilkły bynajmniej po uroczystości grunwaldzkiej, mimo przewidywań różnych strachajłów politycznych napominających, by nie drażnić niemieckiego narodu i nie zrażać sobie sympatji, jakie wśród niego tu i owdzie posiadać możemy. Trudno przypuszczać, aby ekskuza, przesłana przez *Społeczeństwo* na ręce Ledeboura i Hofmanna była wystarczyła do odwrócenia niebezpieczeństwa, gdyby ono rzeczywiście istniało.

Stosunki polityczne tak mało mają podobieństwa do salonowo towarzyskich, że efekt wywołany uprzejmym lub szorstkim giestem bywa nieraz odwrotny, a ten lub ów system polityczny nie wtedy zawraca z obranej drogi, gdy o to grzecznie poprosić, lecz wtedy, gdy dostanie w skórę. Z tego punktu widzenia święto grunwaldzkie dla trwałości antypolskiego kursu jest zupełnie pozbawione znaczenia, a rozdrażniło co najwyżej mysłowicką komorę.

Równie nieuzasadnionymi, jak dawniej obawy, byłyby dzisiaj złudzenia i nadzieje. We wzmiankowanych głosach prasy niemieckiej niema nic takiego, coby świadczyło o zasadniczym zwrocie opinji na naszą korzyść. Wszystkie niemal ograniczają się na wykazywaniu, że dotychczasowa polityka polska niemieckiego rządu jest kosztowna i bezcelowa. Krytyka nie odnosi się do jej zamierzeń, lecz do użytych środków. Nikt nie twierdzi, by Polaków nie należało wynaradawiać, lecz że tego na dotychczasowej drodze nie osiągnięto lub może wogóle osiągnąć nie można.

Nikt też nie stawia wniosków narodowego równouprawnienia, nie posuwa się do żądań zniesienia ustaw antypolskich. *Maximum* łaskawości, a nawet *maximum* aspiracji Polaków na dzisiejszy moment polega na tym, by niektóre z tych ustaw przestano wykonywać.

Trudno o wymowniejszy dowód naszego głębokiego upośledzenia, naszej abdykacji i naszego obezwładnienia, jak to nieustanne obracanie się kwestji polskiej w Prusach około zagadnienia : będą, czy nie będą wywłaszczać?

Zasadniczo kwestja ta przestała być polityczną, a stała się administracyjną. Naród, przez swych pełnomocników dał rządowi pruskiemu tę jadowitą broń w rękę i sankcjonował jej użycie. Rząd może dla tych lub owych powodów dzierżyć ją słabo lub zawiesić na kołku, ale nie może jej zniszczyć ani się jej wyrzec — bez nowej uchwały. Ta sama opinja, która go uzbroiła, nie pozwala mu się dobrowolnie rozbroić.

Faktyczne niewywłaszczanie mogłoby naprzykład nastąpić i wtedy, gdyby wywłaszczenie przymusowe okazało się zbytecznym; nie byłoby to dowodem zmiany systemu, lecz jego skuteczności.

Nie można twierdzić, aby w danej chwili tak się rzeczy miały.

Dla rozmaitych powodów nietylko wstrzymanie, lecz nawet zaniechanie naganki na Polaków mogłoby w obecnej konjunkturze politycznej leżeć w interesie rządu niemieckiego.

Do pewnego stopnia mogłoby się ono wiązać z pogorszeniem stosunków między Niemcami i Rosją, to jednak dopiero wtedy silniej wpłynęłyby na położenie nasze w pruskim zaborze, gdyby równocześnie w Rosji stanęły u steru żywioły liberalne, zdecydowane obwarować się od naporu niemieckiego szerokimi ustępstwami na rzecz Polaków. Póki jednak polityka

Rosji w tym kierunku, — jak to niedawno zdradziła *Rossija*—polegać będzie tylko na wykazywaniu, że Polacy Niemców jeszcze bardziej nie cierpią, rząd pruski nie będzie narażony na taki lęk i skruchę, aby bić się w piersi i obiecywać poprawę.

Wiele więcej niż przeciwnik może w tym razie wpłynąć sprzymierzeniec. Sojusz z Austrją jest dla Niemiec niezbędny, tak jak dla rządu wiedeńskiego niezbędnym poparcie Koła polskiego.

Jest to tak oczywistą prawdą, że tylko niesłychanym niedołęstwem, krótkowidztwem, ciasnym egoizmem polskich polityków w Wiedniu można tłumaczyć ten anormalny fakt, że sprzymierzone z Austrją Prusy pozwoliły sobie na takie rozpasanie w prześladowaniu narodu, mającego tam tak poważny wpływ i znaczenie. Gdyby niepopularność trójprzymierza groziła zachwianiem go, nie byłoby wogóle mogło przyjść do ustawy wywłaszczeniowej.

Bez oficjalnego mieszania się w wewnęrzne sprawy sąsiada, na tej samej drodze poufnych ostrzeżeń jak dziś zahamowano wykonywanie prawa, można było spowodować wycofanie go z sejmu. Dzisiejszy sukces winienby więc tym jaskrawiej wyświetlić wczorajsze niedbalstwo. „Nie nie mogliśmy, ale nie umieliśmy" można tu powiedzieć słowami Mochnackiego, a może jeszcze sąd zaostrzyć: „nie chcieliśmy".

Względnie słaba opozycja galicyjskich dyplomatów przeciw zasadzie wywłaszczenia, a bardzo zabiegliwa przeciw jej stosowaniu, tłumaczy się bowiem w części tym, co powiedziano na wstępie. Dziś kwestja z politycznej stała się administracyjną, z publicznej prywatną. Dziś już chodzi nie o to, czy wywłaszczać można, lecz od kogo zaczną. Otóż wiadomym się stało, że na pierwszy ogień miały iść dobra *nieobecnych*, t. j. właścicieli ziemskich, mieszkających poza krajem, obcych poddanych. Galicyjscy magnaci zostali więc zagrożeni osobiście. To ich ostatecznie rozbudziło; przypomnieli sobie o swych prawach, swych wpływach, poruszyli swoje stosunki, powołali się na swe przeszłe zasługi, postawili zastrzeżenia i warunki co do przyszłych. Wszystko to jednak trochę zapóźno się stało. Wywłaszczenie postanowione w zasadzie trzyma pod grozą kilka miljonów ich rodaków i jest dla nich czynnikiem politycznego ubezwładnienia.

Ale i na rządzie pruskim mści się ustanowienie takiej zasady.

Nie jest to — jak wiemy — bynajmniej rząd demagogiczny; szanuje on własność, zwłaszcza wielką własność, i ma wstręt do przewrotu. Ustawa miała dla niego wartość tylko jako broń przeciw Polakom, tylko więc przez swe zastosowanie polityczne, a nie jako sankcja ekonomicznej niwelacji. A oto miecz uwiązł w pochwie i czeka dalszego przeznaczenia. Kto go pierwszy pochwyci? Czerwona fala rośnie. Miasta niemieckie rozjątrzone filo-junkierską polityką finansową, wskrzeszają Hanzę, budzą niemieckiego chłopa i popierają szybki wzrost związków chłopskich. Opinja coraz ostrzej zwraca się przeciw arystokracji dworskiej, agrarjuszom, biurokracji, tuczącej się na tłustych pastwiskach Marchji Wschodniej, użyznionej kolonizacyjnymi miljonami i coraz głośniej szerzy się agitacja za blokiem lewicy. Najdalej za dwa lata nastąpią nowe wybory; ogólnym jest przekonanie, że nastąpią wcześniej. Nikt nie wątpi, że socjaliści w obecnym nastroju umysłów mogą wyjść z kampanji wyborczej jako najsilniejsza w kraju partja. A tymczasem wywłaszczenie *w zasadzie* jest sankcjonowane. Rząd potrzebuje więcej niż kiedykolwiek silnej reakcyjnej większości. W takich okolicznościach i garstka posłów polskich przestaje być „une quantité négligeable". To jeszcze jedna racja, dla której na razie przynajmniej, póki nie przejdą wybory, należałoby przestać drażnić Polaków.

Mylnie by jednak pojmował zjawiska polityczne ten, ktoby sądził, że zmiana systemu, skoro jest wskazaną, niechybnie nastąpić musi. Ciężka machina państwowa nie może być doraźnie zwekslowana na dowolną linję, a wyrachowania i rozumowania polityczne często muszą ustąpić przed siłę nieprzepartą nałogów, tradycji, namiętności. Walka przeciw Polakom tkwi głęboko korzeniami w całej przeszłości Prus, które na niej wzrosły, dorobiły się, spotężniały, a dziś niemal wyłącznie nią karmią i podsycają dumę narodową, szowinizm i lojalność swych obywateli. Dla zjednania Polaków rząd autokratyczny i reakcyjny

---

Jean Moréas.

# Dokoła ksiąg i ludzi.

## I.

### Śmierć i Przyjaźń.

Za dni mej wczesnej młodości dzielnica Szkolna przechowywała jeszcze ślady swych znamion dziedzicznych. Wokół kościoła Św. Seweryna, poprzed Cluny, starożytne zabytki poniekąd usposabiały do wywoływania wspomień z epoki żaków i doktorów scholastyki.

Plac Maubert był jeszcze nietknięty ze swymi biegnącymi naukos ulicami, pierzchającymi ku Sekwanie i krużgankom Katedry Panny Marji.

Od strony placu św. Andrzeja piętrzył się malowniczy labirynt wież, na poły zgrzybiałych. Pewnej nocy, pamiętam, spotkałem tam, w głębi pustego zaułka, u stóp bramy pomnikowej, leżącą starą pijaczkę, wyciągniętą na śniegu, pod całunem księżyca.

Opodal Sekwany, czarne budy czepiały się murów pokruszonych, sklepienia, pełne drżących światłości, przerzucały się z jednej ulicy w drugą.

Tam to niezawodnie otwierał się ów ciasny i ponury przesmyk ulicy Nowej-Cwikły, na której Juljusz Janin umiejscowił swą historję o cholerze z taką tragikomiczną grozą.

* * *

Widziałem w Paryżu dwie epidemje cholery. Ostatnia, grasująca około 17 lat temu, nim opanowała stolicę, pragnęła zaprawić się w Puteaux.

Przypominam sobie, że zostałem zaproszony podówczas do przyjaciela swego na obiad w tej miejscowości. Zarówno potrawy jak wina zyskały kompletne z naszej strony uznanie. Skoro podano kawę, czuliśmy się obaj wybornie usposobieni.

Mówiliśmy o chorych i o umierających, bez fanfaronady,—tak mi się zdaje.

nie podetnie gałęzi, na której uwił sobie gniazdo, a jest ono całe zawieszone na junkiersko-hakatystycznych podporach tronu i ołtarza.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Powrót Rosji do Europy — radośnie obwoływany przez prasę francuską, a oblewany na ucztach w Portsmouth przez japońskich, rosyjskich i angielskich marynarzy, świadczy o tryumfie angielskiej dyplomacji, kroczącej wiernie drogami wytkniętymi przez króla Edwarda, a widocznie aprobowanymi przez jego następcę. Wianek sojuszów, którymi oplotła się niegdyś odosobniona Anglja, został zaokrąglony przez sprzężenie ogniwem ugody dwuch równie niezbędnych dla niej sprzymierzeńców, mających między sobą tak świeże i tak łatwe do wznowienia krwawe porachunki. Gdy w interesie Anglji leżało osłabienie Rosji, bezpośrednio po okupacji Mandżurji, związała się przymierzem z Japonją, a zwycięztwo tej ostatniej uprzątnęło z jej drogi najniebezpieczniejszą antagonistkę w Azji. Dziś Rosja już nie tak straszna, a nowy zatarg rosyjsko-japoński nie leży bynajmniej w planach Anglji, która musi się uporać z nowym, groźniejszym i bliższym jej przeciwnikiem; z tego względu powrót Rosji jest dla niej dziś bardzo pożądany i dlatego też wywołał on żywe zaniepokojenie wśród polityków niemieckich, którzy ze swej strony krzątają się około wciągnięcia nowych wspólników do swej koalicji. Zwrócono przytym uwagę na Turcję, która — choć nie przedstawia wielkiej siły — mogłaby, przerzucając się otwarcie na stronę trójprzymierza, wzmocnić jego wpływy na Półwyspie Bałkańskim. Równocześnie Austrja dąży do zjednania sobie Serbji i rozbicia tym sposobem propagowanej przez Rosję unji słowiańskiej na Bałkanach.

Tak więc, południowo wschodni cypel Europy nie przestaje być kością niezgody i węzłem politycznych intryg między wielkimi mocarstwami, z czego tymczasem korzystają małe państewka, wyzyskując to jedną to drugą protekcją dla poprawienia swych interesów. Najlepiej krząta się Bulgarja. Zdobywszy niezawisłość przy pomocy Austrji, z pomocą Rosji uregulowała rachunki z Turcją, a dziś przeciwstawia się jej i odegrywa względem ludów Macedonji taką samą rolę opiekunki, jaką Rosja grała względem niej w czasie jej walk o zrzucenie tureckiego jarzma. Krwawe rozbrajanie Albanji przez rząd młodoturecki wywołuje w Bulgarji rozjątrzenie i głośny protest poparty przez cichą mobilizację. Powoławszy pod broń 55 tysięcy rezerwistów pod pozorem wielkich ćwiczeń wojskowych, domaga się sądu Europy nad postępowaniem wojsk tureckich w Macedonji i zwraca się o to w pierwszym rzędzie do Anglji. Równocześnie na greckim pograniczu wybuchają krwawe starcia. Młoda Turcja nie może więc wybrnąć z wewnętrznych i zewnętrznych zawikłań, równie silnie zagrożona przez zawziętych wrogów jak i przez zbyt troskliwych a niepokojąco potężnych opiekunów.

Gorszym jest jeszcze położenie Persji, gdzie znowu wybuchnęła krwawa wojna domowa. Powracając z Dalekiego Wschodu do Europy — Rosja zatrzymała się tam, jak wiemy, na dość długi popas, co w wysokim stopniu jątrzy ludność miejscową, która drogo kupiła swą wolność polityczną, ale nie chciałaby jej opłacać ceną niepodległości. Oddziały ochotnicze, które obaliły rząd absolutny, podtrzymywany przez kozaków szacha pod dowództwem Lachowa, ciągle domagały się wycofania wojsk rosyjskich z Persji, popierając żądania medżilisu, który bezskutecznie interpelował ministrów. Wywołało to kilka przesileń gabinetowych, ale realnego skutku nie odnosiło. W końcu przyszło do zaburzeń, a gdy rząd chciał im położyć koniec przez powszechne rozbrojenie, wywiązały się krwawe walki, przyczym były w użyciu kartaczownice i armaty. Mimo to, rezultat walk jest jeszcze nierozstrzygnięty. Rząd perski rozbrajając fidajów właściwie rozbraja Persję, nie rozporządza on bowiem wcale dostateczną siłą zbrojną na zewnątrz, a i te oddziały stałego wojska, jakie posiada, stoją pod dowództwem oficerów rosyjskich. Być może więc, że perskie walki bratobójcze są zarazem samobójczymi.

Równocześnie z powrotem Rosji do Europy odbył się uroczysty wjazd Stanów Zjednoczonych do Afryki i wywołał niemałą w świecie politycznym konsternację. Republika miljarderów, dorobiwszy się prócz bogactw powagi i znaczenia, uznaje, że Ameryka jest dla Amerykanów za małą. W imię doktryny Monroego wystąpiła niegdyś jako protektorka Kuby, lecz, że jedzenie wzmaga apetyt, nie wahała się wbrew doktrynie zająć Filipiny, a obecnie w dalszym rozwoju imperjalistycznych planów objęła pod swój protektorat murzyńską rzeczpospolitą Liberję. Europejskim państwom kolonjalnym przybywa groźny i silny współzawodnik na wszystkich lądach i morzach. Równocześnie jednak i Stany Zjednoczone narażają się na współzawodnictwo wpływów europejskich w republikach południowej i środkowej Ameryki, które się spostrzegły, że doktryna Monroego wychodziła wyłącznie na korzyść najsilniejszego z mocarstw amery-

---

Epidemja szybko i poprostu wkrada się w rozmowę potoczną. Wyobraźnia, niewątpliwie, ulega podnieceniu wobec niebezpieczeństwa, wszelako śmierć nie budzi wielkiej grozy: najszczęśliwsi nawet na tej ziemi czują się znużeni życiem.

Zbytni jednakże pochop ku śmierci razi podobnież brakiem wdzięku, jak nadmierne pożądanie życia.

* * *

W *szkicach* Montaigne'a znajdujemy całą encyklopedję rozpraw, dotyczących kresu naszych trosk i uciech: *W jakim znaczeniu śmierć zwalnia nas od wszelkich zobowiązań; jedyny sędzia szczęścia ludzkiego; jak dalece należy być przygotowanym na śmierć; jakie są rodzaje śmierci najzdrowsze; śmierć stanowi część porządku wszechświata i t. d.*

Montaigne przytacza myślicieli i poetów, gromadzi mniemania za i przeciw, piętrzy przykłady i opowieści.

Jak sam wyznaje, już w kwiecie swego wieku osaczany bywał przez *wyobrażenia śmierci.* Pośród tańców i zabaw napastowały go myśli żałobne. Nie sprowadzało to jednak zmarszczek gorzkich na jego czoło: wyrobił on w sobie siłę spokoju wobec przeciwności losu ludzkiego. Powiadał sobie, że życie długie i życie krótkie stają się w obliczu śmierci równe sobie, albowiem długość i krótkość nie istnieją w stosunku do rzeczy, których już niema. Potem wspomina zdanie Arystotelesa o pewnych stworzonkach, żyjących zaledwie dzień jeden: to, które umiera o godzinie ósmej rano, ginie w swej młodości; to zaś, które umiera o piątej wieczorem—ginie zgrzybiałe.

Smierć, wedle Montaigne'a, nie jest lekarstwem na jedną tylko chorobę, ale lekarstwem na wszystkie.

Sądzi on, iż śmierć, dobrowolnie wybrana, bywa najpiękniejsza; że, jeśli znosić cierpienia jest słabością, to podtrzymywać je — bywa szaleństwem.

I przypomina, że razu pewnego Djogenes spotkał filozofa, którego niesiono w lektyce, gdyż oddawna dotknięty był puchliną wodną. Filozof ów zakrzyknął doń:

— Pozdrowienie tobie! Djogenesie!

kańskich. Przeciw hegemonji Stanów Zjednoczonych powstaje coraz większa opozycja, z czego nie omieszkał skorzystać zawsze czujny i ruchliwy cesarz Wilhelm, który upatrzył sobie nowego przyjaciela w prezydencie Nikaragi. Złośliwi mówią, że upatrzył raczej nową stację węglową i to możliwie jaknajbliższą wykończanego pospiesznie kanału panamskiego.

W Hiszpanji walka przeciw klerykalizmowi nie ustaje, solidarnie prowadzona przez parlament, gabinet i króla przy poparciu przeważnej większości ludu hiszpańskiego. Zapowiadane wielkie manifestacje klerykalne, w których karliści zamierzali odegrać czynną rolę, nie doszły do skutku. Rząd tryumfuje nad bezsilnością klerykałów, Watykan zaś sobie przypisuje zasługę powstrzymania ich od demonstracji, które mogłyby spowodować wybuch wojny domowej. W każdym razie postawa rządu jest nieugiętą i jest rzeczą możliwą, że skromny w założeniu zakres wolnomyślnych reform stopniowo rozszerzony zostanie, gdy się okaże, że lud im sprzyja a klerykalizm przestał być w Hiszpanji taką potęgą, z którą by sobie rady dać nie można.

# Echa Grunwaldu.

Wielkie święto zjednoczenia, które Kraków, a z nim i w jego murach cała Polska święciły, przed paru tygodniami nietylko rozgorzało serca i poruszyło sumienia, przypominając szereg obowiązków narodowych, ale i stworzyło sposobność do konkretnego ich przemyślenia. Sposobność taką dali przybyli do Krakowa amerykańscy Polacy na zgromadzeniu, zwołanym przez polskie Tow. Emigracyjne w d. 2 b. m. Związek narodowy polski, ta najliczniejsza we wszystkich dzielnicach organizacja (72 tys. członków i 1,200 towarzystw) przez usta swoich przedstawicieli, prezesa Stęczyńskiego i wice-cenzora Abczyńskiego, rozwinął przed nami obraz życzeń, dążeń i organizacji amerykańskiej Polonji. Nie zadawalnia się ona już dziś ochroną przed wynarodowieniem i pielęgnowaniem wyniesionych z kraju cech polskości, ale pragnie przyjąć czynny udział w sprawach ogólno-narodowych. Jak wykazał kongres waszyngtoński, Polacy amerykańscy zdobywają się nawet na śmiałą inicjatywę. Znać po nich wpływ kultury, która sama stwarza warunki swego bytu i nie ogranicza się na zdobieniu kwiatkiem tradycji, przejętych na nowym gruncie form życia.

Zetknięcie się z działaczami amerykańskiej Polonji nasuwa mi szereg uwag, które na tym miejscu wypowiedzieć się postaram.

Grzebiemy dziś kulturę szlachecką, butną, strojną, gładką, wielekroć bohaterską, ale i lekkomyślną, niezaradną. Na jej miejsce wstępuje kultura demokratyczna, którą stworzyć muszą ludzie pracy fizycznej, głównie chłop i robotnik. Krytykując pierwszą, z zafrasowaniem i obawą o przyszłość myślimy o drugiej, bo to jeszcze wielkość nieznana.

Wprawdzie mamy już próbki uzdolnień społecznych i kulturalnych naszego ludu i w starej Europie. Silny ruch kooperatywny wśród włościan i robotników w Królestwie, wzorowe organizacje kredytu włościańskiego w zaborze pruskim, spółki i kółka tamże przekonywają o zdolności nowoczesnego zrzeszania wśród tych świeżo do świadomości i oświaty dochodzących grup społecznych. Karna organizacja demokracji społecznej, postępy ludowców w Galicji wskazują na uzdolnienie polityczne ludu, nawet w tej dzielnicy, gdzie brak właściwego do stworzenia robotniczego stronnictwa materjału, t. j. robotników wielkiego przemysłu. A Kroże, Chełmszczyzna, wozy Drzymałów, strajki katowanych przez pruskich nauczycieli dzieci ludu, a bohaterowie—robotnicy ostatniej rewolucji, toż dość dowodów, iż bohaterskie wysiłki i czyny heroiczne nie zaginą. Tu jednak w Europie inicjatywa wychodzi jeszcze od inteligiencji, tu nie brak prowodyrów, którzy wskazują drogi, obok innych, co na manowce prowadzą.

W Ameryce typ kultury pracy przedstawia się wyraźniej. Trzy czy czteromiljonowy zastęp amerykańskich Polaków organizuje się i urządza bez udziału inteligiencji, on dziś dopiero tę inteligiencję wytwarza i na brak jej, lub szybkie asymilowanie z żywiołem miejscowym się uskarża. Z dumą zaznaczył p. Stęczyński, że, dzięki poparciu Związku narodowego, wykształciła amerykańska Polonja szereg techników, lekarzy, adwokatów inżynierów. Inteligiencja napływowa to, jak wszyscy wiemy, wielekroć szumowiny, które na terenie europejskim stawały się już zabardzo widoczne i szukały ucieczki przed nie pożądanym dla nich zetknięciem z kodeksem karnym. Amerykański Polak, robotnik czy fermer, z wielką się też do przybyłych inteligientów odnosi nieufnością.

I oto nasz chłop, czy robotnik, często analfabeta, nie znający żadnego z europejskich języków, odnalazł

---

— A ja nie pozdrawiam ciebie, odrzecze tenże, gdyż znosisz życie, będąc w takim stanie.

W następstwie wszakże Montaigne zmienił przekonanie, mówiąc, że większą jest zasługą powoli kruszyć łańcuch, co nas przykuwa, niżli odrazu go stargać, i więcej hartu tkwi w cnocie Regulusa, niż Katona.

Kiedy bywa mowa o wzniosłej obojętności wobec śmierci, nie pomija się nigdy Sokratesa. Nieraz wydaje mi się, że pogoda i jasność duszy tego mędrca skrywały, być może na dnie swym, gorycz i zmęczenie życia.

Lecz jakże to? Zali Nietzsche miałby słuszność, mówiąc, iż Sokrates pragnął śmierci i że Ateńczyków zmusił, aby skazali go na wypicie cykuty?

* * *

Meuander, poeta oraz moralista, uważał za ulubieńca bogów tego, kto znalazł chociażby cień przyjaciela. Montaigne powtarza owe słowa, a Montaigne znał się na przyjaźni.

Życzliwość wzajemna, jaka łączyła Boecjusza oraz autora „Szkiców", słynie w historji. Była to przyjaźń zupełna i doskonała, zjawisko w dziejach tego świata nader rzadkie.

„Trzeba, pisze Montaigne, z biegu tylu szczęśliwych przypadków, aby przyjaźń powstać mogła, że, raz na trzysta lat co najwyżej, los zakwitać jej pozwala".

I zwierza się, że po śmierci Boecjusza, całe życie jego, bądź co bądź pogodne i ciche, było jedynie dymem i pomroką nocy.

W duszach Montaigne'a i Boecjusza mogły, bez wątpienia, rozwinąć się podobne uczucia, wszelako wyrastają one także,—dosyć często,—w sercu natur bardzo prostych. Wtenczas, przedstawiają się one jako skłonność do wylewów szczerości i pewnego rodzaju wzajemne niedbalstwo w stosunkach. Niema w nich wtedy żadnych pierwiastków godności.

Miłość, która pozostaje ślepą namiętnością, bez względu na upiększenia, w jakie ją ubieramy, nie rości tak subtelnych żądań! Przyjaźń jest żywiołem delikatniejszym i musi liczyć się ze swymi skrupułami.

Oto dlaczego serce prawdziwie wzniosłe, zranione pociskiem losu, przekłada nad wszystko—gorzkie rozkosze samotności.

(D. N.)

drogę do nowego świata, zapoznał się z jego stosunkami, w czym bardzo mało dopomogła mu publicystyka, a co potępiała polska oficjalna nauka i tropiła surowo policja. Już po pięćdziesięciu latach masie ludowej w Ameryce nie wystarczało zaspokojenie potrzeb religijnych. obok kościołów istnieją organizacje narodowe, istnieje prasa wszelkich odcieni i budzi się imponujący ruch oświatowy.

Typ polskiej kultury demokratycznej par excellence rozwija się przeto za oceanem i zupełnie konkretne daje pojęcie, jakim szlakiem kultura ta pójdzie.

Problematem bardzo trudnym, jaki kierownicy ruchu mają przed sobą, jest stopień zlania się społeczeństwa polskiego z amerykańskim. Punkt, w którym przecinać się powinna linja narodowej odrębności z drugą, znaczącą uobywatelenie amerykańskie, a więc dojście do pełnych praw i spełnianie obowiązków obywatela wolnej respubliki, to moment niezmiernie subtelny, od którego przecież zależeć będą losy czwartej polskiej dzielnicy.

Polacy są dziś już tak poważnym pod względem liczby elementem, że na kierunek polityki Stanów, a zatem i na swoje w nich stanowisko, wpływ mieć mogą i powinni. Dopomaga w tym łatwość postarania się o amerykańskie obywatelstwo [1]) i swoboda ustroju, oraz przewaga liczebna żywiołów napływowych nad yankesami. Wielki zaś szkopuł stanowi nizki poziom umysłowy większości emigrantów. Wyzyskuje to prasa obca, zwłaszcza niemiecka, której hakatyzm zwraca się zjadliwie przeciw *slavish immigration.* Do zachowania narodowej odrębności dopomaga oprócz świadomych starań prasy i organizacji, skupienie się żywiołu polskiego, zarówno w dzielnicach miast, czy osad, jak i w całych Stanach (połowa Polaków zamieszkuje 6 Stanów Nowej Anglji, znaczna część przebywa dokoła Pensywanji, emigracja rolnicza zwraca się dalej na południo-zachód).

Już sama liczebność elementu polskiego uniemożebnia zbyt daleko idące wyodrębnianie się. To nie grupy studentów na uniwersytetach zagranicznych, ani wykolejeni marzyciele emigranci, ale ludzie czynu i pracy, których tysiące węzłów łączyć musi ze społeczeństwem otaczającem. Położenie takie jest bardzo pomyślne i dla jednostek i dla całości. Jednostka żyć pełnym życiem może jedynie, czując się cząstką państwa i łącząc węzłami interesów terytorjalnych z ogółem. Całość Polaków wyrobi sobie znośne, a może i dobre warunki bytu, tylko współdziałając przy ich wytworzeniu. Imperyalistyczny prąd amerykański, że tak nazwę dumne dążenie yankesów do wzmacniania swej państwowości, przeszedłby bezwzględnie nad głowami elementu, któryby chciał trwać w swej szowinistycznej wyłączności. Polacy muszą się tedy czuć *obywatelami* amerykańskimi My tu z Europy nie możemy im w tym dopomódz, ale nie powinniśmy stanowiska utrudniać. Pamiętajmy, że losy, na ten raz pomyślne, połączyły ich z kulturą nie tylko odrębną, ale i w wielu kierunkach wyższą od naszej.

Natomiast dużo możemy się przyczynić, ażeby ich uodporniać. Chcemy, ażeby pozostali polakami w duszy, a wobec swej liczebności i zalet organizacyjnych jakie już wykazali, jest to zupełnie możebnem. Zamiast biadać, że kraje polskie wytwarzają jedyny produkt exportowy, pożądany dla zagranicy, t. j. ręce robocze, zwróćmy baczniejszą uwagę na nasze wychodźtwo już tu w kraju. Emigrant powinien być człowiekiem dobrze poinformowanym, dokąd dąży i co go czeka. Początek dały towarzystwa emigracyjne w Galicji i w Królestwie. Na obczyźnie emigrant ten musi mieć dostęp do całej literatury pięknej i naukowej, jaką kraj wytwarza. Wysyłka tej literatury, a nawet przystosowanie jej wielekroć do potrzeb polaków zamieszkałych w Ameryce, nie powinno być jedynie paru firmom pozostawionym księgarskim, które założyły tam swe filie.

Związek narodowy powołał już do życia w Chicago uniwersytet ludowy i dąży do założenia wyższej uczelni. My, zwłaszcza w Galicyi, odczuwamy wielekroć nadprodukcję sił inteligienckich i naukowych, gdy amerykanie—polacy walczą z ich brakiem. Nietrudno wyprowadzić stąd odpowiedni wniosek, formułują go sami przedstawiciele związku, żądając prelegentów i sił naukowych...

Tak jak się dziś już stosunki przedstawiają, lud polski na gruncie amerykańskim wykazał duże, jak twierdzą znawcy, wprost zdumiewające postępy, dał dowód, jaką być może owa kultura demokratyczna, przyszłość, wytworzona przez mózgi i serca robotników i chłopów. Do nas dziś należy dać im chleb duchowy, o jaki wołają i nawiązać ścisłą łączność krajów macierzystych z potężniejącą, zamożną i wolną kolonią.

*D-r Z. Daszyńska-Golińska.*

[1]) Po latach pięciu każdy przybysz może uzyskać obywatelstwo amerykańskie, o ile podpisze odpowiednią deklarację. Jak mówił p. Abczyński, wielu rodaków zaniedbuje to ku własnej szkodzie, uszczuplając jednocześnie wpływ elementu polskiego.

# Hydry wielogłowe.

Rosja jest obecnie pod znakiem rewizji senatorskich i cholery. Wszelkie zaś zarządzenia, czynione pod tym znakiem, mają na celu uzdrawianie chorych organizmów społecznych i fizycznych. Badania, przypadkowe lub planowe, prowadzone w tych rozległych, a wielce rożnorodnych dziedzinach, dają bardzo pouczający, niezmiernie bogaty materjał dla socjologa, ekonomisty, polityka, humanisty, wreszcie dla przedstawicieli narodu i rządu. Przytym, wykrywane są takie rzeczy, o których nietylko filozofom, ale nawet wielu biurokratom się nie śniło.

Cholera w obrębie Rosji znalazła dla siebie niesłychaną gościnność i już nawet przyjęła obywatelstwo w tym państwie i, skutkiem tego, otrzymała tytuł obywatelski, nadany przez prasę rosyjską *cholera russica.* Znalazła ona żarliwych i nawet fanatycznych obrońców w masach ludu ciemnego, który nie dopuszcza lekarzy, grozi im śmiercią, niweczy medykamenty i wszelkie środki ratunkowe. Służba sanitarna nie zawsze się odznacza bohaterstwem: w okolicach Kijowa felczer na kiju podawał lekarstwo chorym, w końcu uciekł. Jedni uciekają, drugich lud wypędza i otacza cholerę taką opieką, że ona stała się w Rosji bardziej nietykalną niż posłowie do Dumy. Łatwiej np. wyrzucić posła—żyda z miejsca, nieobjętego granicami osiadłości, niż cholerę z Petersburga. W tej opiece nad straszną chorobą podały sobie ręce: ciemnota tłumów i biurokracja. W Odesie władza wchodzi w atrybucje lekarzy, a swoimi dyktatorskimi zarządzeniami wzmacnia jeszcze bardziej śród tłumów to przekonanie, że wszelkie baraki izolacyjne, wszelkie kwarantanny mają na celu uśmiercanie zdrowych i grzebanie ich ze zmarłymi na cholerę. Bajki te mają posłuch ogromny, a wszelkie bezwzględne i często bezcelowe zarządzenia biurokratyczne wywołują tylko popłoch. Zresztą, systemem władzy odeskiej są stałe pogróżki i trzymanie ludności pod grozą. Wszakże dyktator miejscowy już dwa razy groził zamknięciem wystawy miejscowej; raz za nieprzyjęcie ponowne wydalonego skandalisty, studenta czarnosecińca, urzędującego na wystawie; drugi raz za to, iż w restauracji wystawowej zachorowała na cholerę służąca. Ludność miejscowa jest pod grozą zarządzeń dyktatorskich, ale ani cholera, ani dżuma ich się nie boją i pod opieką surowej władzy znalazły przyjazny grunt do rozwoju.

Najbardziej się rozwinęła cholera nad Donem i Dnieprem, a o zwalczaniu jej trudno myśleć, skoro energja, siły i uwaga sfer właściwych skierowane są gdzieindziej. Gdy epidemje rozwijają się bezkarnie i grożą ludności zagładą, władze widzą niebezpieczeństwo gdzie indziej: w lojalnej, spokojnej, niewinnej instytucji — Związku pracowników rolnych na Rusi, który miał na czele swego programu zgodne pożycie ze wszystkimi klasami. I oto tę instytucję, która liczyła kilka tysięcy członków i około 90-ciu filji na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, władze ministerjalne zamknęły, bez podania motywów. Snadź uważały ją za groźniejszą od cholery i dżumy, ponieważ ona była przepełniona bakterjami „inorodczymi".

Inna sfera władz ministerjalnych jest zajęta obecnie tępieniem tych bakterji na kolejach południowo-zachodnich. Pęd energji w tym kierunku nie ma końca, zwłaszcza na wszelkich „okrainach", więc nie ocalało nawet Towarzystwo lekarzy warszawskich, i to w chwili, kiedy się zbliża ku Wiśle cholera i kiedy za pomocą zrzeszeń lekarskich najskuteczniej można byłoby zmobilizować środki walki z cholerą.

Cóż na to począć!? Jak rzekłem, żyjemy pod znakiem rewizji senatorskiej i cholery; muszą więc być właściwe następstwa pochodu pod tymi znakami.

Pomimo jednak bardzo energicznych zarządzeń sanitarnych w chorej intendenturze, choroba, głęboko zakorzeniona, nie daje się usunąć. Pisma rosyjskie zupełnie wyraźnie i kategorycznie twierdzą, że po dokonanych rewizjach i usunięciu winnych ponowiły się nadużycia, tylko w formie doskonalszej. Zresztą stare przysłowie mówi, iż potrzeba jest matką wynalazków. Nie będzie też nic dziwnego, że rewizje senatorskie staną się twardą szkołą dla przyszłej intendentury, nauką sposobu życia na przyszłość...

Rewizje senatorskie odsłoniły całkiem dotąd nieznany świat dla szerszego ogółu. Dzięki bardzo skrzętnym i starannym informacjom prasy rosyjskiej, która nie opuszcza najdrobniejszego szczegółu z owych rewizji, dowiadujemy się, że urzędnicy intendentury nie stanowili jednolitej rzeszy na olbrzymich terytorjach państwa rosyjskiego; że byli między nimi arystokraci i demokraci. Pierwsi — to ci, którzy umieją prowadzić wszelkie operacje; drudzy — przeważnie na terytorjach Syberji, to ci, którzy czynili obroty skromne, sprzedając na własną rękę towar skarbowy pojedyńczymi pudami. To też, obok starej i utartej nazwy *mietkokradów*, otrzymali oni od arystokracji intendentury jeszcze inną nazwę pogardliwą: *popudniki!* (popudowcy, sprzedający produkty skarbowe pudami). Dziś jednak i ci należą już do przeszłości, bo arystokracja intendentury, która, dzięki wojnie, wtargnęła i na Syberję, dała parę lekcji „demokratom", którzy w krótkim przeciągu czasu zdołali prześcignąć swych mistrzów. Zresztą i pudowe operacje nie były do pogardzenia. *Riecz* np. zaznacza, iż podczas wojny niejaki Pawłow sprzedał przy jednej tranzakcji *osiemset tysięcy pudów* siana skarbowego.

Uniwersalny środek leczniczy, jak balsam benedyktyński — rewizje senatorskie — nie dotarł jeszcze do wszystkich chorych dziedzin życia gospodarczego w obrębie państwa, a jakkolwiek bez komisji senatorskich odbywa się tępienie bakterji polskich na kolejach żelaznych, innego rodzaju bakterje w tej dziedzinie rozwijają się bez przeszkód szeroko i mają nawet opiekę w izbach prawodawczych. Dzięki właśnie stosunkom i poparciu w tych sferach, proponujących i decydujących, rozwinęła się swego rodzaju afera kolejowa: popieranie budowy nowych linji nie w interesie ludności, ale jednostek. Ma to już nawet swoją specjalną nazwę: *poselskie geszefty kolejowe.* Tak np. prasa rosyjska zaznacza, że poseł z frakcji październikowców, Kamienskij, będąc rzecznikiem interesów swojej gubernji, usilnie kołatał o przeprowadzenie kolei w takim kierunku, ażeby ona przeszła koło jego huty szklanej. I podobno stało się zadość jego staraniom, co nie miałoby powodzenia przy „dawnym porządku rzeczy".

Również bardzo znamienną jest historja kolei Tomaszowskiej, w której losach bardzo wybitną rolę odegrał biskup Eulogjusz. Dostojnik—patrjota zdołał unicestwić zabiegi Maurycego hr. Zamoyskiego, dzięki temu, iż, według świadectwa biskupa Eulogjusza, hrabia jest „wpływowym przedstawicielem autonomiczno-narodowych dążności w społeczeństwie polskim". Na razie jednak projekt patryjotyczny tej samej kolei w innym kierunku i przy udziale prawdziwych patryjotów nie doznał powodzenia, gdyż ministerjum wojny uznało tę linję za niepożądaną i niebezpieczną pod względem strategicznym. Dzięki jednak niezłomnej woli projektodawcy — rzecznika i wpływom patryjotów, projekt, jako „niedostatecznie rozpoznany", wrócił do sfer ministerjalnych i jest nadzieja, że ze względu na swe doniosłe posłannictwo patryjotyczne, przyjdzie do skutku.

W imię patryjotyzmu odbywa się także, jak już zaznaczyliśmy, oczyszczanie kolei żelaznych z żywiołów obcych; że zaś mogą być ofiary, jest to sprawa podrzędna wobec doniosłości idei. Jak wiadomo, Związek narodu rosyjskiego dąży do obsadzenia wszystkich placówek na kolejach swoimi ludźmi. Wszelkie kwalifikacje moralne i fachowe są tu zbyteczne. Wystarcza jedno świadectwo: należenia do Związku. W ten sposób podobno już sporo związkowców, nie posiadających najmniejszych zdolności, kwalifikacji i doświadczenia, dostało się na koleje żelazne. Jednocześnie z napływem owych związkowców daje się zauważyć wzrost katastrof; przed paru zaś miesiącami, na jednej z kolei pociąg poszedł samopas, mijał stacje i gdy zgasło paliwo, zatrzymał się sam gdzieś w polu. Okazało się, że cała służba pociągu pod wpływem sutych libacji była, nieprzytomna. Ale nie na tym się kończy niebezpieczeństwo, grożące podróżnym. Dzięki szeroko rozwiniętej chorobie, tej samej, jaka panuje w intendenturze, przyczyną katastrof kolejowych niejednokrotnie były zgniłe podkłady. Obecnie zaś śród władz kolejowych zapanował popłoch skutkiem tego, iż bez wieści zginęło trzynaście tysięcy sztuk zgniłych podkładów, które wędrowały z kolei na kolej, wszędzie były odrzucane, w końcu przyjęto je na linji Bołogoje—Połockiej; ale i tam niepodobna było ukryć zgnilizny. Wreszcie wędrujące podkłady znikły i nie można ich znaleźć. Jest przypuszczenie, że zdołano je użyć pod szyny i że stały się już one przyczyną jednej katastrofy, właśnie wkrótce po ich zniknięciu.

Bolączką kolei rosyjskich są nietylko inorodcy, katastrofy i zgniłe podkłady, ale także — niedobory, i to dość znaczne. Szczególnie zaś dotkliwe straty przynosi kolej Wschodnio Chińska. Kolej ta kosztowała skarb państwa 404,823,106 rubli; obecnie zaś nie ma towarów do przewożenia i daje rządowi przeciętnie 17 miljonów rubli strat rocznie! A przecież Mandżurja jest jednym z najbogatszych krajów na świecie. Nawet z tych stosunkowo niewielkich terytorjów, oddanych pod kolej Wschodnio-Chińską, idzie corocznie na rynki 18 miljonów pudów zboża, olbrzymia ilość bydła, ryb i wszelkich produktów surowych. Na towary, idące koleją rosyjską przez Mandżurję, ustanowiono tak niepomiernie wysokie taryfy, że dla Rosji jest prawie niemożliwy dowóz towarów do tej dzielnicy Chin, jak również wywóz stamtąd wszelkich produktów. Całkiem inne warunki mają Japończycy na terytorjach Mandżurji podzielonej. Najwymowniej zilustruje istotny stan rzeczy kilka cyfr porównawczych taryf rosyjskich i japońskich:

| | Kolej rosyjska | Kolej japońska |
|---|---|---|
| Cukier | 63,0 k. | 30,11 k. |
| Żelazo (szmelc) | 31.5 | 8,21 |
| Papier | 52,5 | 19,24 |

| | Kolej rosyjska | Kolej japońska |
|---|---|---|
| Maszyny roln. | 42,0 k. | 15,13 k. |
| Mięso | 42,0 | 19,24 |
| Ryby | 42,0 | 27,21 |

Oto jest jedna z przyczyn, dla czego kolej rosyjska ponosi olbrzymie straty, gdy japońska daje dochody. Powiadamy — *jedna z przyczyn*; znalazłyby się jeszcze inne! Prawda, że w Mandżurji kwitnie wszelkiego rodzaju policja i biurokracja; ale za to niema żadnego organu, żadnej instytucji, stojącej na straży interesów obywateli rosyjskich.

*Paweł Krzyżanowski.*

# NA DOBIE.

## Polityka a cholera.

Czy cholera może posłużyć za temat polityczny? W Rosji może. I to nietylko dotyczy polityki wewnętrznej, ale i zewnętrznej. Walka z „inorodcami" nie pozwoliła ani rządowi ani Dumie zrobić cokolwiek dla podniesienia kulturalnego narodu. I do czego doszło! Dawniej Rosja, jako państwo, stojące wyżej kulturalnie, odgradzała się kordonem wojsk od Persji w obawie przed cholerą—dziś jest wprost przeciwnie: Persja odgrodziła się od Rosji, a państwa zachodnie Europy zaczynają uważać Rosję za niebezpieczną dla kultury europejskiej, ze względu na chroniczny stan trwania wszelkich epidemji. I nie bez słuszności. Skutki panowania w Rosji cholery i dżumy dały się już we znaki handlowi międzynarodowemu i przyniosły ogromne szkody towarzystwom żeglugi. Wewnątrz kraju w niektórych miejscowościach panuje wprost panika, a ponieważ chłopstwo uważa to za dopust Boży, więc chorych trzeba zdobywać z pomocą policji i wojska.

I słusznie. System policyjny nie dopuszcza do kulturalnych związków, by naród skutecznie mógł się bronić od wszelkiego rodzaju epidemji, niech że teraz ten sam system walczy z tym, co sam stworzył i uzna go w wyszukiwaniu chorych, których współziomkowie kryli przed rozsiewaczami cholery.

A jednak naród ma rację.

## Lichwa mieszkaniowa.

Ktoby wątpił, że Warszawiacy są najpotulniejszym gatunkiem ludzi w Europie temu, na dowód przytoczyć można zachowanie się ich wobec lichwy mieszkaniowej.

Od lat dwudziestu śruba mieszkaniowa wyciska z nich ostatnie grosze. Wstrzymana na dwa czy trzy lata przez nagłe wyludnienie miasta w epoce rewolucyjnej, została puszczona w ruch tak przyspieszony po powrocie spłoszonych burżujów, że już zdołała z dosypką powrócić kamienicznikom poniesione straty i dziś zapobiega dalszemu zaludnianiu się Warszawy, wypędzając jej mieszkańców za rogatki, gdzie również ich potrzeby i wygody nie bywają uwzględniane, gdzie jednak pracując w pocie czoła i oszczędzając na wszystkim jakiś dach nad głową opłacić można. Zresztą orgja spekulacyjna jak zaraza szerzyć się zaczyna i na okolice podmiejskie; widoki łatwych zysków bez ryzyka i nakładu rozpalają wyobraźnie właścicieli gruntów i budowli, którzy usiłują dotrzymać kroku kamienicznikom w najłatwiejszej, a zarazem najzyskowniejszej umiejętności podwyższania komornego.

To wszystko znoszą warszawiacy z cichym i żałosnym kwileniem, a prasa w głębokim milczeniu, jakgdyby ją to nic nie obchodziło, albo jakgdyby każdy dziennikarz i publicysta miał własną kamieniczkę.

We wszystkich większych i rozwijających się miastach Europy powtarza się ten sam objaw, że szybki wzrost ludności powoduje drożyznę mieszkań, wszędzie jednak, gdzie ogół jest wyćwiczony do działalności zbiorowej, a gospodarka publiczna zorganizowaną, zawczasu radzą nad zapobieganiem klęsce wszystkie do tego powołane i uzdolnione czynniki: władze administracyjne, organy samorządu, organizacje społeczne, a w pierwszym rzędzie prasa, jako organ opinji zobowiązany dawać znać o powszechnych potrzebach i alarmować w razie klęsk powszechnych. Nigdzie też nie czeka się tej ostateczności, która u nas staje się już chroniczną chorobą, że stale pewna część mieszkańców pozostaje bez dachu nad głową. Nigdzie też mieszczenie się kilku rodzin w jednej izbie nie jest tak powszechnie przyjętym w klasie robotniczej zwyczajem jak u nas.

Głód mieszkaniowy nie jest wcale mniej groźnym i zabójczym, niż głód żywnościowy lub klęski żywiołowe, jak choroby zakaźne, powodzie i t. d.

Wywołuje on brak powietrza i światła — czynniki sprzyjające wszelkim epidemjom, chroniczne charłactwo i nędzę. Ponieważ nie mieszkać nigdzie jest rzeczą niemożliwą, a nawet zabronioną, cała Warszawa pracująca musi spłacać właścicielom nieruchomości warszawskich haracz, zwiększający się rok rocznie, a znacznie przewyższający jej siły ekonomiczne. Gdy pewnej srogiej zimy w ten sposób opodatkowaną została na rzecz dostawców węgla, bardzo słusznie uczyniono alarm, postarano się o ukrócenie spekulacji i przywrócenie jakiej takiej równowagi między dostawą a spożyciem. Na węglarzy znalazł się sposób; czyżby nie było sposobu na kamieniczników?

Faktem jest, że go dotąd nikt nie szukał. Z jakąś fatalistyczną apatją, z biernym niedołęstwem przyjmujemy ten dopust Boży jak wiele innych, licząc na to, że może Opatrzność ześle znowu jaką katastrofę, która wyludni Warszawę jak w 1905 roku, lub że czas sam sprowadzi korzystną zmianę. Nie źle jednak mówi wschodnie przysłowie:

Czas leczy tylko cierpienia głupich — a mądrych rozum.

Czyżby 800,000 mieszkańców Warszawy nie mogą się zdobyć na tyle rozumnej zaradności, aby się z tą klęską uporać?

# BADANIA NAUKOWE.

## W poszukiwaniu nowego światopoglądu.

(Z powodu pism Stanisława Brzozowskiego p. t.: „Kultura i życie", „Legienda młodej Polski" i „Idee"

Brzozowski jest jednym z najbardziej poczytnych u nas pisarzy, posiada temperament bojowy, umysł nader żywy i wrażliwy; liczne jego pisma traktują o najróżnorodniejszych przedmiotach z dziedziny sztuki, filozofji, nauki, życia i nawet polityki; tworzył je pod wrażeniem szybko przemijających i krzyżujących się wpływów, dlatego też noszą cechy urywkowości i impresjonizmu.

W zapowiedzianych przez Brzozowskiego pracach należało się spodziewać usystematyzowania i pogłębienia poglądów, zarysowujących się już w „Kulturze i Życiu".

Tymczasem dwa następne tomy jego pism, „Legienda młodej Polski" i „Idee", nie ziściły tych nadziei: poruszył w nich wiele nowych zagadnień, powtórzył wiele myśli, wypowiedzianych już poprzednio,

nie dał jednak całokształtu swoich poglądów, ani też pokusił się o ich udowodnienie w rysach choćby najogólniejszych.

Widocznie natura umysłu i talentu Brzozowskiego nie pozwala mu skupić się, wniknąć głęboko w poruszane przez siebie zagadnienia i za pomocą ścisłego i wielostronnego dowodzenia, uzasadnić choćby tylko swych podstawowych poglądów.

Najnowsze jego dzieło p. t. „Idee”, duże pod względem rozmiarów, obejmuje, w gruncie rzeczy, tylko zbiór różnych artykułów, omawiających w sposób ogólnikowy mnóstwo zagadnień...

Skoro więc najnowsze prace Brzozowskiego nie dały tego, czego od nich należało oczekiwać, dalsze wstrzymywanie się z oceną doktryn, zawartych w jego pismach, jest już nieuzasadnione.

W artykule niniejszym nie mogę poddać analizie krytycznej wszystkich jego poglądów, gdyż wymagałoby to specjalnego dzieła; dlatego ograniczę się tylko na rozpatrzeniu idej zasadniczych.

Brzozowski uważa racjonalizm, pozytywizm i wogóle wszystkie formy intelektualizmu za kierunki z gruntu fałszywe, stwarzające iluzję nauki; zwalcza determinizm oraz objektywne pojmowanie zjawisk społecznych.

Swiat, który uważamy za coś zewnętrznego wobec nas, jest, według niego, naszym dziełem, gdyż tworzymy go i pojmujemy przez pracę; nie doświadczenie, jak je rozumieją uczeni — intelektualiści, lecz intuicja i twórczość są źródłem poznania naszego. Niema rzeczywistości poza nami, istnieje tylko przez nas. Nie ma też żadnej prawdy, wznoszącej się po nad nami, po nad ludźmi jest tylko prawda w stosunku do czegoś określonego w naszym życiu.

Brzozowski nie poprzestaje na wywodach ogólnofilozoficznych, przeciwnie, samo życie, i to społeczne, uważa za podstawę nauki, sztuki i filozofji.

Specjalnie zajmują go losy Polaków i Polski. Przyszłość naszego narodu widzi w rozwijającej się i dążącej do samowiedzy i samorządu, w najszerszym słowa tego znaczeniu — polskiej klasie robotniczej. Brzozowskiemu chodzi o rozkwit myśli polskiej i woli polskiej... Dlatego też chce oprzeć rozwój naszego narodu na czynnikach, które są wyrazem tej woli i myśli w przeszłości i teraźniejszości.

Tak się przedstawia w rysach najogólniejszych podstawowa doktryna Brzozowskiego. [1])

Rozpatrzmy ją teraz szczegółowo.

## I.

Ponieważ w światopoglądzie Brzozowskiego życie zajmować ma (inna rzecz, czy istotnie zajmuje) stanowisko centralne, z konieczności więc zatrzymam się obszerniej na zagadnieniach społecznych, teoretycznych i praktycznych, omawianych przez tego autora. Zpośród jego poglądów filozoficznych rozpatrzę tylko niektóre. Metafizyka Brzozowskiego mogłaby być przedmiotem specjalnej krytyki, nie wchodzi ona jednak w zakres tego artykułu.

Pozostawiam też bez rozbioru estetyczno-literackie poglądy tego pisarza.

Jego teorje filozoficzne stosunkowo najwyraźniej występują w „Ideach”, w szkicu p. t. „Prolegomena filozofji pracy”.[2]) Napisany w 1909 r., a więc niedawno, zawiera, jak przypuszczać należy, uogólnienie doktryny metafizycznej. Brzozowskiego „Wola, która tworzyła technikę naszą i tę siłę charakteru, mówi Brzozowski, [3]) która niezbędną była, by pracę nad tą techniką wykonać, by ją utrzymać, wola, która wytworzyła zbiorowe współżycie, mowa i wola ta stworzyła „świat zewnętrzny”.

W pismach Brzozowskiego są jeszcze inne ustępy w których twierdzi, że człowiek tworzy świat, a które pomijam dla braku miejsca.

W cytowanym ustępie autor nie poprzestaje na stwierdzeniu faktu ogólnie znanego, że obraz świata zależy od naszej organizacji psycho-fizycznej, lecz idzie znacznie dalej, co ujawnia się i w innych miejscach jego pracy, i sądzi, że świat cały jest naszym wytworem. Rodzi się naturalna wątpliwość: czy uznaje on istnienie „świata zewnętrznego”, stworzonego chociażby przez nas, jednakże istniejącego, czy go nie uznaje, uważając jedynie za wytwór naszej wyobraźni? Na powyższe pytanie nie można dać odpowiedzi stanowczej, dlatego, że Brzozowski pisze chaotycznie, zawile, nieściśle, używa przenośni. Można znaleźć u niego ustępy na korzyść jednego i drugiego twierdzenia.

Z niektórych jego poglądów wypływałoby logicznie uznanie istnienia „świata zawnętrznego”. Na korzyść tego przypuszczenia przemawia poniższy ustęp:

„Poza nim, poza tym życiem jest coś, o czym to tylko możemy powiedzieć, że jest współmierne z naszą pracą; to jest, że pomiędzy czasem w nas, a czasem poza nami jest taka styczność, że możemy przez pewne zużycie naszego życia zapewnić pewne właściwości psychiczne nastąpić mającym przebiegom czasu” [4])

Pierwsza część powyższego jest zrozumiała i każe przypuszczać, że autor uznaje istnienie „świata zewnętrznego” a nie czegoś, co jest poza nami, poza naszym życiem, nie jest już prostym naszym wytworem, skutkiem naszej pracy, lecz czymś współmiernym z tą pracą.

Ale może niesłusznie przypisałem mu kategoryczne uznanie „świata zewnętrznego” za coś istniejącego, może go odrzuca? Brzozowski wielokrotnie powtarza w swych ostatnich pracach, że faktem najgłębszym, zasadniczym, z którego wypływają inne, jest „wspólnota ludzka”, społeczeństwo.

Otóż społeczeństwo, ze swymi urządzeniami, zasobami, odziedziczonymi z przeszłości, normami życia, jest niezawodnie, w stosunku do jednostki, światem zewnętrznym. Uznając społeczeństwo za fakt niewątpliwy, uznać należy także „świat zewnętrzny”.

„Pamiętajmy, mówi [5]), że nie mamy żadnego pozaludzkiego gruntu, że utrzymuje nas ponad żywiołem zawsze tylko zbiorowy nasz ludzki wysiłek. Zmienia ten punkt widzenia wszystkie perspektywy: raz na zawsze grzebie wszystkie, wspierające się wzajemnie formy psychiki, wyrastające z wiary, *w świat pozaludzki i gotowy* [6]), świat, który jest zawsze tylko zawartością naszej psychiki, usystematyzowaną przez nas, a stworzona przez zbiorowy wysiłek” Z powyższego ustępu możemy wnioskować, że ludzkość zawdzięcza byt swój tylko sobie samej, że poza sobą nie ma żadnego punktu oparcia, że wogóle pozaludzkiego świata nie ma.

„Osobiście wierzę, twierdzi, że ostawanie się życia naszego jest wynikiem ustalonego porozumienia między naszą twórczością, a twórczością i twórczościami co są poza człowiekiem. Ale nie idzie mi tu o narzucenie mojej metafizycznej, czy też religijnej wiary”. [7]) Z tego znów widzimy, że świat pozaludzki istnieje i że ostawanie się życia ludzkiego zależy nietylko od nas, lecz od porozumienia się twórczości naszej z twórczością pozaludzką.

Brzozowski nie może wydobyć się ze sprzeczności w pojmowaniu stosunku człowieka do świata.

---

[1]) Dla braku miejsca nie mogę robić licznych cytat z pism Brzozowskiego. Artykuł ten pisze w przeświadczeniu, że czytelnicy je znają.

[2]) Idee st. 177 — 127.

[3]) Idee st. 206.

[4]) Idee st. 216.

[5]) Idee st. 210.

[6]) Idee podkreślone Brzozowskiego.

[7]) Idee st. 339.

A przecież wyraźne stanowisko w tym zagadnieniu jest niezbędne w każdym systemacie filozoficznym.

Obdarzony dużą fantazją, pisarz ten nie umie zapanować nad sobą podczas wykładu swych doktryn: lubując się w porównaniach, zestawieniach i alegorjach, wyrzucając z siebie potok słów, często zupełnie niezrozumiałych, zdań pełnych sprzeczności.

(c. d. n.) *Ludwik Kulczycki.*

# Demokracja i Praca.

(La Démocratie et le Travail p. Gabriel Hanotaux).

(Dokończenie).

Ujemną stroną bardzo bujnego ruchu związkowego we Francji jest, zdaniem p. Hanotaux, że syndykaty powstają tylko dla walki i w chwilach walki, że nie posiadają cech trwałości. Po skończonej kampanji, wygranej czy przegranej, związkowcy przestają się interesować związkami, zasilać je i ich dyrektywie się poddawać. Z tego powodu związki są dziś raczej czynnikiem dezorganizacji niż organizacji. Bardzo często też broń strajku jest zupełnie niefortunnie wybraną i w złym zwróconą kierunku: pociski nie tam padają, gdzie celowano — a skutkiem tego i rezultaty są odwrotne do zamierzeń.

Bezrobocie w winnicach południowej Francji, wynikłe na tle przesilenia, które się z dawna przygotowywało, mogłoby było wcale nie wybuchnąć, gdyby w tej gałęzi wytwórczości istniała była mądra, przewidująca organizacja fachowa, którаby zawczasu wezwała rząd na pomoc dla zaradzenia złemu, spowodowała poważną ankietę i zarządzenia prawodawcze celem podźwignięcia zagrożonej dziedziny produkcji.

Strajki wymierzone przeciw państwu, zmuszają je do zajęcia postawy odpornej. Demokracja wyklucza przywileje; nie pozwala na tworzenie się grup czy kast, słowem jakiejkolwiek arystokracji, którаby dyktowała prawa ogółowi. Cząstka, którаby chciała występować przeciw całości, musi mieć przeciw sobie państwo, którego zadaniem jest stać na straży tej całości. Jego rola jest rozjemczą, regulującą, normującą, ochronną; ono musi zawsze stawać w obronie bezpośrednio zagrożonych i pilnować, aby nikt — jednostka czy grupa — nie naruszał słusznych praw drugiej grupy, czy jednostki. Rolą związków zawodowych powinno być ustanawianie norm obowiązujących w obrębie danego zawodu. Z natury rzeczy przeciwstawiają się one pracodawcom („Ludzie zrzeszają się zawsze przeciw komuś" pisze) jednakże przy rozważnym i umiejętnym prowadzeniu sprawy na tle starcia przeciwstawnych interesów wyłoni się interes wspólny. Pokój w przemyśle — w danej gałęzi przemysłu—jest potrzebny zarówno robotnikom jak i pracodawcom. Robotnicy mają w tym własny interes, by nietylko chronić gałęź przemysłu, w której pracują, lecz i chronić pracodawcę, jako wcielenie ducha inicjatywy i przedsiębiorczości, bez których nie może istnieć wytwórczość przemysłowa. Z drugiej strony — ponieważ przedsiębiorca ryzykuje i w zamian za pewne zarobki dawane robotnikom rezerwuje sobie niepewne zyski — leży w jego interesie, aby ryzyko zmniejszyć przez uniknięcie rujnujących przesileń wewnętrznych. Zamiast zatym dwuch armji zmobilizowanych do walki, powinny istnieć raczej dwie strony zawierające kontrakt i poręczające jego wykonanie, a uwzględniające nietylko interesy pracy i kapitału, lecz wspólny interes tej gałęzi produkcji, w której praca i kapitał łącznie są zaangażowane.

Nie dość na tym; poza interesami tej lub owej gałęzi przemysłu istnieje jeszcze interes ogólny — interes kraju. Robotnicy mylą się—pisze p. Hanotaux, gdy sądzą, że po ich stronie jest przewaga liczebna. Istotnie są oni mniejszością. Oficjalna statystyko podaje ilość wszystkich pracowników najemnych w przemyśle, licząc w to kobiety, dzieci, cudzoziemców, pojedyńczych wyrobników na 5,642,000. W zestawieniu z 39 miljonową ludnością Francji nie jest to nawet 7-ma część.

Z tej liczby zaledwie pół miljona. wedle przypuszczalnego obliczenia p. Hanotaux, należy do armji czynnej, to jest do zorganizowanych w syndykaty, a i tam jeszcze iluż członków biernych, lub wciągniętych na listę statystów. To właśnie stoi na przeszkodzie wszelkim realnym reformom, przeprowadzanym przez organizacje robotnicze. Nie przedstawiając dostatecznej siły, nie dają wystarczającej gwarancji

Z drugiej strony pamiętając o tem, że nawet najdoskonalsza organizacja nie da im faktycznej przewagi liczebnej, nie powinnіby zbyt lekkomyślnie mobilizować większości przeciw sobie. Faktem zaś jest, że wszelkie strajki, czy to wymierzone przeciw państwu, czy przeciw pracodawcom—uderzają w konsumenta, czyli w ogół. Ta wielka, bezimienna, zatomizowana masa jest skutkiem swej dezorganizacji bierna, bezgranicznie cierpliwa, lecz gdy się cierpliwość wyczerpnie, może się zrzeszyć i stać się potęgą.

Tu autor rzuca wzrok wstecz na główne etapy walk ekonomicznych ubiegłego stulecia: Pierwsze szkoły ekonomiczne,biorące w obronę pokrzywdzonych, przemawiały imieniem spożywców. Równość użycia i wspólność posiadania były ich hasłem. Taniość środków do życia ideałem. Tak powstał komunizm. Przeciwstawił mu się socjalizm, upominający się o prawa sił roboczych i stawiający na pierwszym planie interesy wytwórczości. Tą drogą powstał ideał kollektywizmu.

Organizacja pracującego proletarjatu, dochodząc do najdalszych swych konsekwencji, wywołać może na nowo głos protestu ze strony spożywców, i nowe domaganie się zwalczania drożyzny. Przeciwstawienie jest zresztą w wielu punktach sztuczne. Konsumentami są wszyscy, nie wyłączając pracującego proletarjatu; kto zatem zasilać chce wytwórcę kosztem konsumenta, ten nieraz przeprowadza tylko taką reformę, którą porównać można do przekładania pieniędzy z jednej do drugiej kieszeni.

Organizacja spożywców nie byłaby,zdaniem autora, nowym czynnikiem rozstroju i walki, lecz raczej uwieńczeniem tego wielkiego dzieła, jakie wiek nasz dokonać winien, to jest organizacji demokracji. Byłaby ona także udoskonaleniem najwyższej twórczej i kierowniczej potęgi społeczeństw demokratycznych: opinji publicznej.

Najdrażliwszą jak wiemy kwestję stanowią związki urzędn. państwowych. Najnowsze prawo niemieckie, jakkolwiek bardzo demokratyczne—wyklucza je. We Francji bezrobocie urzędników pocztowo-telegraficznych wywołało wielką konsternację i ostre starcie. I tu p. Hanotaux w dowcipnej formie listów,wymienionych między nim a listonoszem, stara się zwrócić uwagę na solidarność zawodową interesów pracodawcy i pracownika i na niebezpieczeństwo zmobilizowania przeciw nim obu konsumentów. „Nie leży to koniecznie w naturze państwa, by ono listy i gazety przesyłało obywatelom. Powierzono mu tę funkcję w przekonaniu, że będzie ją lepiej, systematyczniej i taniej spełniało niż przedsiębiorca prywatny. Jeżeli okaże się, że ono tej gwarancji nie daje, społeczeństwo ucieknie się do inicjatywy prywatnej, a wtedy nietylko zwierzchnik pański, lecz i pan—jako przedstawiciel państwa, przegracie sprawę". Przeciw temu jednak zrewoltowany urzędnik zarzuca: „chcemy służyć państwu, ale nie chcemy służyć klice; podlegać prawu, lecz nie zależyć od protekcji, intrygi, kaprysu. I nam potrzeba środka dla obrony naszych praw, choć może nie obraliśmy najodpowiedniejszego"...

Pan Hanotaux bynajmniej nie jest zwolennikiem wszechwładzy państwa i wcale nie zaprzecza, że to co

w mowie potocznej określamy tą abstrakcyjną definicją, konkretnie przedstawia klasą urzędniczą zrekrutowaną i ugrupowaną na podstawie koteryjnych protekcji i zakulisowych zabiegów. W swej opozycji przeciw rozszerzaniu atrybucji państwa, idzie często za daleko, zdradzając zakorzenione skłonności do *laissez—fairyzmu*, choć zresztą w zasadzie kierunek ten uważa za pogrzebany.

Przeciwko skasowaniu lub ograniczeniu prawa spadkowego oświadcza się stanowczo. Czynić ogólnym spadkobiercą państwo, to znaczy wydziedziczać obywateli na rzecz urzędników, którzy majątek ogólny roztrwonią. Spuścizna w ręku jednostki uskrzydla prywatną przedsiębiorczość i jest czynnikiem twórczym. Własność zbiorowa jest własnością niczyją i każdy z niej czerpie, nikt jej nie chroni, a tym mniej nie zwiększa.

Gdy mowa o państwowych ubezpieczeniach i emeryturach robotniczych, znowu oponuje. Oszczędzanie nie leży jego zdaniem w naturze państwa; jednostki oszczędzają, państwo wydatkuje. Odkładanie i kapitalizowanie jest obyczajem narodowym Francuzów; robią to dla przyjemności. Dowód, że im są starsi, tym bardziej oszczędzają. Chcą sami rozporządzać zaoszczędzonym groszem, poczytując to za swą sprawę prywatną. Nie należy tego obyczaju obalać. Pan Hanotaux nie uwzględnia, że ten obyczaj francuski ma obok dobrych i pewne złe strony, odbijające się ujemnie na rozwoju kraju, że państwowe ubezpieczenia zupełnie dobrze i z pożytkiem funkcjonują w Niemczech, a społeczne w Anglji, bynajmniej nie ubożąc kraju, a rozszerzając dobrodziejstwa przezorności nawet na tych biedaków, którzy o własnych siłach nigdy nie zdołaliby sobie spokojnej zapewnić starości. To ostatnie przecież nie powinno być przywilejem niektórych, lecz prawem wszystkich pracujących. I z okazji kontraktów zbiorowych również oponuje autor przeciw zbyt bezwzględnej ingerencji państwa. Pomiędzy umową — prawem (contrat loi) a tak zwanym parlamentaryzmem fabrycznym wybiera juste-milieu, w postaci usankcjonowanych obyczajów zawodowych, ustanawianych przez organizacje pracodawców i pracobiorców, a rozciągających się na daną gałąź produkcji w jej całości. Doświadczenie i zwyczaj dopiero mogłyby torować drogę prawu wedle ustalonej przez historję kolei. „Nie jest to dobry sposób popierania postępu, zamknąć go na kłódkę martwej i nieruchomej formuły"—mówi. Zapomina zresztą, że żadne prawo nie jest nieruchome, zwłaszcza w państwie demokratycznym, a uchwała pozbawiona egzekutywy nie przechodzi w zwyczaj, bo nie przechodzi w praktykę. Jeżeli państwo nie użyczy swej mocy decyzjom organizacji zawodowych, będą one musiały nietylko siłą wywalczać ustępstwa, ale i siłę na ich straży postawić, przyczym o pokoju społecznym nie będzie można mówić. Trudno też wszystkie reformy społeczne opierać na nieudowodnionej hypotezie, że wszyscy pracodawcy będą zawsze dobrze rozumieli swoje interesy i dla tego nigdy nie nadużyją swej ekonomicznej przewagi.

O ile byśmy taką hypotezę przyjęli za pewnik, nie byłoby trzeba wogóle mówić o jakichkolwiek reformach prawodawczych. Trzeba przyznać, że są one niemożliwe, o ile nie tkwią w opinji, o ile ich nie poprzedzą najprzód dążenia, a potym fakty, dokonane w postaci doświadczeń i obyczajów. Nigdy jednak opinja nie jest jednomyślną, ani obyczaj jednolitym. Jedni czynią rzeczy dobre i rozsądne z przekonania, a inni tylko pod przymusem. Wszelkie prawo istnieje jedynie przez wzgląd na tych drugich; dla pierwszych jest zbytecznym.

Pan Hanotaux, który sądzi się wyzwolonym z wszelkich mrzonek, nie może się rozstać z jedną, mianowicie, że każdego można drogą logicznej dyskusji przekonać i nawrócić.

*Z. O.*

# LITERATURA i SZTUKA.

## W obronie godności.

### Z powodu książki Gabryela Dauchot „Polska nieśmiertelna".

Ignorancja wprost nieokrzesana, tycząca się rzeczy i spraw polskich na Zachodzie, jest zdumiewającą i graniczy z anegdotą. Dość powiedzieć, że jakaś brazylijska encyklopedja z największą flegmą informowała swych żądnych wiadomości czytelników, że Kościuszko był generałem rosyjskim. Póki Polska, tak jak dziś Kreta, lub do niedawna Macedonja, była kartą w preferansie politycznym gabinetów i dworów, interesowano się nią i posiadano o niej rzetelne choć szczupłe, wiadomości. Póki Polska brała udział czynny w walkach wolnościowych Europy, przedsiębranych dla podniesienia kultury politycznej i ulepszenia organizacji politycznej zachodnich narodów, nietylko interesowano się nią, lecz nawet entuzjazmowano się nią. Gdy Polska Jagiellonów i orężnie i kulturalnie przewyższała wiele ościennych państw i narodów, sława i wpływy jej sięgały daleko. Z chwilą, gdy nasz udział w powszechnym dorobku cywilizacyjnym ludzkości spadł do zera, gdy zaprzestaliśmy pomnażać zdobycze wiedzy i techniki gdy przestaliśmy przyczyniać się do wypracowania i urzeczywistnienia wyższych ideałów społeczno-etycznych, przestano o nas mówić i pisać. Gdy w okresie uprawiania polityki dywidendy nie odgrywamy roli na giełdzie, a w polityce i życiu społecznym staliśmy się pogardzoną i lekceważoną ostoją wszelkiego wstecznictwa, pozyskaliśmy niechęć nawet lepszych elementów Zachodu. Tą drogą staliśmy się „quantité negligeable", lub „méprisée", pod każdym względem. Na Zachodzie przeciętny człowiek więcej posiada rzetelnych wiadomości o kafrach Południowej Afryki lub o Samoańczykach Polinezji aniżeli o Polakach. Polak w oczach przeciętnej pospolitości na Zachodzie stał się synonimem bardzo nielubianego, lub synonimem ściganego politycznego tułacza-wygnańca, bynajmniej nie uwielbianego, albo synonimem zarobkowego wychodźcy. Tylko przebłyski sztuki polskiej której mamką i piastunką była i jest męka życia porozbiorowego, od czasu do czasu, narusza tę monotonność i szarzyznę postaci polskich smutnych lub torturą żyżycia ponad siły znieprawionych, które plączą się w mrowisku ludzkim zachodnich społeczeństw. Skoro pod brzemieniem dziedzicznych grzechów historycznych nie dźwigamy się, jak dotąd, a w ogniu niewoli nie spalają się zasiewy zła i nie nabieramy hartu, lecz wręcz przeciwnie, nikczemniejemy — przeto uznać wypadnie lekceważenie i wzgardę nam okazywaną przez zachodnie społeczeństwa za wytłomaczone.

Wyrazem tej wzgardy i lekceważenia nas jest to zdumiewające nieuctwo w rzeczach polskich, właściwe skąd inąd wykształconym ludziom Zachodu, gdyż ignorancja ta dobitnie oznajmia i woła do Polaków: „nie chcemy was znać, nic nas nie obchodzicie, nie dbamy o was!

W tej ignorancji jest coś obraźliwego i znieważającego, a dla Polaków, których bólem życia jest poniżenie i upadek ich narodu, coś wysoce drażniącego. Ile razy natknę się na podobne ohydne nieuctwo spotykam je kostyczną uwagą: „Votre ignorance barrore et offensive peut être pardonne puisque de la Pologne comme d'une femne honête on ne parle pas". A pozwalam sobie na to cięcie szpicrutą z tego powodu, że na tę ignorancję nie tylko składają się nasze śmiertelne grzechy, ale i bezeceństwa samych ignorantów.

Wobec tego, że wiadomości o Polsce nie są poszukiwane na rynku codziennym, więc się o nie troszczyć nie okazuje się żadna potrzeba. Tylko ci, którzy

projektowali sobie pod tą lub inną postacią Polskę złupić, troszczyli się o odrobinę niezbędnych wiadomości. Tym sposobem ignorantowi w sprawach i rzeczach polskich nie przynosi to ani zaszczytu ani usprawiedliwienia a tylko go kompromituje. Wszystko to należy sobie uświadomić, ile razy jakiś zachodnio-europejski człowiek wyraża swe sympatje lub antypatje względem Polski i Polaków. I jedno i drugie zawsze opiera się na niewiedzy i z tego względu zasługuje na to, by nad tym przechodzić do porządku dziennego.

W tych okolicznościach zjawia się książka p. Dauchot'a „Polska nieśmiertelna”. Hyperprodukcja na rynku literackim Paryża zniewala autorów, pozbawionych talentu, zwracać na siebie uwagę osobliwością i ekscentrycznością tematu. Jest to równorzędne z tym, gdy ktoś, by zmusić do mówienia o sobie, przechodzi na mahometanizm, przywdziewa strój araba i chodzi w nim po ulicy. Choć utwór literacki p. Dauchot został wyróżniony nagrodą z fundacji Montyona, za uszlachetniające tendencje, to fakt pozostaje faktem, że utwór ten nie posiada ani naukowej, ani belletrystycznej, ani pedagogicznej, ani propagandystycznej, ani wogóle żadnej zalety. Jeżeli została nagrodzoną, to chyba tylko dlatego, że nagrodzie Montyona zagrażało próżnowanie i brak sposobności do uruchomienia jej.

Utwór p. Dauchot'a grzeszy brakiem szczerości, naturalności i prawdy, i dlatego jest utworem niesmacznym, i polonofilska tendencja żadnego szanującego się Polaka, choćby najpobłażliwszego w sądach, bynajmniej nie rozbraja.

Jest widocznym, jak na dłoni, w jaki sposób książka p. Dauchota powstała. Autor uczuł potrzebę okazania światu francuskiemu, co też to on wie o Polsce, o której olbrzymia większość nietylko nic nie wie, lecz przewrotne, jakieś mgliste ma wyobrażenia. Erudycja ta p. Dauchota bynajmniej nie jest wielką i nie wystarcza do powstania jakiegobądź rzeczowego sądu. Składa się ona 1) z odrobiny wiadomości historycznych, dzięki staroświeckiej pracy francuskiej p. Rhulière „Historja anarchizmu w Polsce”, 2) z odrobiny pamiętników z czasów konfederacji Barskiej, pozostawionych przez jej francuskich uczestników, 3) z niejakiego obeznania się na podstawie przekładów z literaturą polskich romantyków, 4) z bezpośrednich wrażeń i spostrzeżeń, zdobytych podczas wycieczki turystycznej do Galicji. To jest cała erudycja i kompetencja p. Dauchota do wypowiadania zapatrywań i opinji w rzeczach, tyczących się Polski.

Ponieważ proste sfastrygowanie tych poszarpanych strzępów wiedzowych nie miałoby sensu i nie byłoby niczem umotywowane i usprawiedliwione, przeto p. Dauchot ujrzał się zniewolonym zcementować te nieprzystające do siebie kawałki jakimś wiązadłem pseudo-powieściowym, mającym za tło dzieje nastrojów i uczuć nowoczesnego młodego Francuza, niezadowolonego z dzisiejszej Francji.

Chcąc nawymyślać Francji, autor uniesiony blagą więcej niż wyobraźnią, apoteozuje Polskę. Gdyby to choć zrobił z talentem, to brak wiadomości możnaby mu było jeszcze wybaczyć, gdy jednak robi to niezręcznie w wysokim stopniu, rozgrzeszać niema żadnej podstawy. Możnaby było pokryć pogardliwym milczeniem ten chybiony elaborat literacki, gdyby nie okoliczność, że grono ludzi, pozbawionych smaku i dostojeństwa narodowego, składało hołd autorowi nonsensu w Polsce. Gdy Zachód Europy z lenistwa umysłowego i nadmiaru lekceważenia nie chce znać Polski i o niej milczy, to mająca poczucie godności polskość może to tylko spotykać również pogardliwym dostojnym milczeniem, a ambitna polskość w podobnym razie będzie zmuszać Zachód do mówienia o Polsce z realnym szacunkiem a nie z gawędziarskim, sztucznym patosem i aplombem, poza którymi ukrywa się nicość myśli i uczuć. Polskość dostojna nie żebrze oklasków u pierwszego lepszego pismaka francuskiego ani pada plackiem przed pierwszym lepszym kurtuazyjnym lub interesownym płaskim pochlebcą z Zachodu. Bajka o kruku i lisie może tu być wystarczającą przestrogą. Razy trzeba z godnością i w milczeniu przyjmować jeśli się ich uważa za zasłużone; razy niezasłużone, jeżeli się ich nie umie odeprzeć, spotykać można tylko z szyderstwem. Tanie, bezmyślne pochlebstwa rozumny, pełen godności naród odczuwa jako zniewagę i karci je.

Na wszystkie te stanowiska skarlały naród polski zdobyć się nie umie. W panu Dauchot bracia Leblondowie znaleźli groźnego współzawodnika w szafowaniu giętkimi elastycznymi frazesami, lśniącymi blichtrem wystylizowanych komplementów. Różnica między nimi jest chyba tylko ta, że p. Dauchot prezentuje swą nicość naukową więcej bezinteresownie, bracia zaś Leblondowie wykazują gust do tanich sposobów zdobywania grosza i hołdów, wiedząc, że ich tandeta znajdzie w Polsce niewybrednych nabywców. Każde wyrobione społeczeństwo wygwizdałoby takich panów.

*A. Kurcjusz.*

# Przegląd teatralny.

Fenomenalne kreacje Ludwika Solskiego w „Carze Samozwańcu” oraz w „Wielkim Fryderyku” przeryły pamięć naszą, niby dwa iskrzące meteory, wiodąc za sobą ślad długi i świetlany.

Byliśmy od nich na chwilę, jak olśnięci. Przysłoniły nam one swą świetnością chroniczne niedomagania gospodarki teatralnej, a zarazem podźwignęły wysoce urok Sztuki, rzucając zasłonę z ogni tęczowych na szarą scenę pustki, z której zazwyczaj ziewa ku publiczności bezzębna nuda i udaremniony skarży się wysiłek.

Przekonaliśmy się, po raz pierwszy od lat wielu, doświadczalnie, jak olbrzymie bogactwo skojarzeń myślowych wykwita z bujnie rzuconej na scenę koncepcji artystycznej, jak doniosłe i szerokie gamy wzruszeń rozbrzmiewają w duszach słuchaczy i widzów dokoła żywego akordu, bijącego z głębin prawdziwie szczerego natchnienia. Solski wskazał naocznie, w jaki sposób Teatr sięgać winien po najszczytniejsze zadania w służbie kultury narodowej i w posłannictwie ideałów wszechludzkich. Zważmy tylko obszar oddziaływań, ogarnijmy tę niepokonaną potęgę suggestji, jaką Teatr wywierać może na publiczność, gdy znika bez śladu przedział między widownią a sceną, między okiem a sercem, gdy w dusze rozedrgane fala wrażeń przelewa się jak żywioł prawdy, a zarazem żywioł upojenia! Całą wyniosłość i całą nieskazitelną czystość Ideału powierzyć można wówczas szczerze w ręce bezimiennego tłumu, w ręce niewiadome, — kiedyindziej, — być może, zazwyczaj przedajne, chciwe, wiarołomne; najgłębsze tajemnice sumień wówczas spowiadać można milczącej rzeszy serc, zazwyczaj może interesownych, wykrętnych i samolubnych, które jednak nagle, w godzinie uroku, pod zaklęciem przecudownych wrażeń, wznoszą się po nad własną naturę, w dziedzinę bezinteresowności, prostoty i prawdy.

Teatr, rozporządzając najliczniejszym, najbardziej wszechstronnym doborem środków artystycznych, z przeznaczenia swego powołany jest ku temu, by ujarzmiać dusze ludzkie, by je brać w niewolę, rozbrajać z powszedniego rynsztunku uprzedzeń, nałogów i przystosowań, niezbędnych w zgiełku życiowym, i przywracać im integralność i niepokalaność własnej ich utajonej istoty.

Tak rozumiał zadania Teatru Wyspiański, przyrównywając grę aktorów i siłę wrażeń, jakie budzić mogą, do wichrów nawalnyah, rozrywających serca,

i do ognistych deszczów, siekących dusze strzałami entuzjazmu. Scena nie była dlań miejscem zabaw, lub igrzyskiem swawoli, ale o granity opartym gmachem sumienia, gdzie, pod egidą czujnie wytężonej woli, rozgrywa się sąd nad współczesnością. I, niewątpliwie, każdy, kto nie jest pozbawiony czynnego udziału w procesie własnych przeżyć duchowych, kto usiłuje nietylko falą być na oceanie życia, ale i żeglarzem, i wedle możności sternikiem, ten z wrażeń, płynących ze sceny, potrafi wydobyć głęboką wymowę powagi i powiąże je z zasadniczym nurtem swych doświadczeń wewnętrznych. Wstępując w progi Teatru, stając wobec rozchylonej kurtyny, spotyka się każdy z możliwością najbardziej tajemnego nad sobą sądu, tudzież z grozą rozstrzygającego wyroku. Ten sąd wypowiada nad nim niekiedy historja, czasem moralność lub estetyka, najczęściej ciężar przeżyć osobistych, wewnętrznych klęsk i załamań, odbity w zwierciadle plastyki żywej i przedmiotowej.

To, co zewnętrznie i materjalnie przedstawia się jako niesłychane *powodzenie kasowe* sztuki, to, jednocześnie, rozważone głębiej, od strony wewnętrznej, przedstawiać może nieocenioną *wartość psychologiczną*. Trzydzieści niespełna wystąpień Solskiego w Teatrze Wielkim, przy szczelnie zapełnionej sali — to niemal 40 tysięcy widzów zjednoczonych u ogniska Sztuki, związanych wspólnym przeżyciem wizji niezapomnianej, stopionych w jednym porywie nadziei, żalu, obawy... Czterdzieści tysięcy osób zestrojonych w harmonję, 40 tysięcy serc, drgających rozkoszą i bólem, jak struny, nawiązane na jednej, wspólnej harfie odczuwania, — to pozycja w świecie ekonomji duchowej zbyt silna, aby ją lekceważyć! Jakąż inną poza teatrem, *w obrębie kultury nowoczesnej* posiadamy instytucję o równie szerokiej, żywej rozniosłości echa, o równym kolisku promieniowań w zbiorową duszę społeczeństwa?

Publiczność polska w Warszawie, chodząca tłumnie na występy Solskiego, rozumiała, w jak poważnym uczestniczy akcie życia kulturalnego: w skupieniu i z wrażliwą tęsknotą poddawała się ona suggestjom dramatu i sztuce artysty. Słusznie podkreślono w *Myśli Niepodległej* (lipiec III), że niezwykłą „siłę i dojrzałość moralną wykazały owe szeregi publiczności, które zdolne były w Warszawie wysłuchać tak chłoszczącej satyry („Car Samozwaniec"). Szowinizm, wybuchający takimi entuzjazmami, cichutko musiał siedzieć i kryć się w cieniach szczelnie natłoczonej widowni; rozpamiętywanie i westchnienie rzucone w przyszłość, — pisze organ p. Niemojewskiego, — oto wszystko. do czego zniewalał autor i aktor".

Jeżeli publiczność jednak stanęła istotnie na wysokości należytego odczucia i zrozumienia zjawisk, orjentując się umiejętnie zarówno w zakresie efektów czystego artyzmu, jak w psychologji uczuć społeczno-obywatelskich, subtelnie dyssekowanych w sztuce, to krytyka teatralna w osobach pp. recenzentów przeważnie wykazała rażące braki w pojmowaniu obu sfer powyższych Wydało się, że nie przoduje ono ogółowi w pochodzie ideowym, krocząc na czele postępu, ale wlecze się z tyłu, popędzana szyderstwem jednostek, jak balast ciężkiej, ślepej bezradności. Patryjotyzm, miłość ojczyzny pojmuje ona jeszcze od strony jej brutalnych, najniższych przejawów, jako celną samochwalbę i zbiorową fanfaronadę głupoty, przeświadczonej, że od Boga pochodzi, skoro od wieków istnieje. P. Rabski w *Kurjerze Warszawskim* dowodził, że nie może *bez żółci* słuchać dramatów Nowaczyńskiego, „jako dziecię bohaterskiej ziemi Wielkopolskiej", gdyż „jego dumę narodową (czy jak się to tam nazywa?) obrażają". *Słowo* od wstydu się *zaczerwieniło*; *Dziennik Powszechny* ze zgrozy *pozieleniał*; zda się, że z przejawów powszechnego naszej prasy oburzenia możnaby złożyć cały bukiet kolorów... świadczący, w jak osobliwe widmo rozszczepia się słońce oświaty polskiej, przepuszczone przez wodę mózgów kurjerkowych.

Prasa Warszawska, skazawszy na banicję twórczość Nowaczyńskiego, ze szczerą natomiast sympatją otwarła wrota gościny dla p. Lengyela, przybywającego do Warszawy z Węgier *via* Berlin. Sztukę jego p. t. „Tajfun" wziął pod opiekę osobistą wyżej wzmiankowany Władysław Rabski, przeciwstawiając zawartą w niej gloryfikację idei ojczyźnianej rzekomemu sceptycyzmowi uczuć narodowych we „Fryderyku" i „Polskich na Moskwie Godach". *Tajfun*, dzięki skupionej, wyrazistej grze p. Brydzińskiego w egzotycznej roli Tokerama, cieszył się istotnie niejakim powodzeniem na scenie Teatru Letniego; trwalszego jednak stanowiska wywalczyć dla siebie nie zdoła, z powodu zasadniczej płytkości zagadnienia, mającego rodzić konflikt dramatyczny w sztuce, zagadnienia, które publiczność polska znów zdołała trafniej od przysięgłych zawodowców krytyki przeniknąć do dna.

Idea ojczyzny, będąca osią środkową dramatu, a uosobniona w postaciach Japończyków, zdobywających na obczyźnie środki i zasoby dla szczęścia swych rodaków, mimo pozorów sympatji, nie budzi w nas głębszego współczucia, gdyż nie pokazano nam tej ojczyzny w blasku sił twórczych, w majestacie samoistności dziejowej. Doniosłość i posłannictwo Japonji (w swej sztuce) autor zasadza na kopjowaniu Europy; atoli kopjowanie najdoskonalszych nawet wzorów nie wystarcza, aby stworzyć zeń zasadę bytu dla naśladującego. „My—powiadają o sobie Japończycy p. Lengyela — przyswoiliśmy sobie w ciągu lat 15 tu to, nad czym Europa pracowała przez całe stulecia". Doskonała metoda! „Niech Europa—powiadają jeszcze—trudzi się i morduje nadal, a co stworzy najlepszego, to my jej zabierzemy!"—Ależ to jest metoda.. pasorzytów. Mówimy tu oczywiście nie o Japończykach z dramatu historji, ale o Japończykach z dramatu p. Lengyela.

A w jakim celu, zapytajmy, ci ostatni przyswajają sobie zdobycze umysłowości Zachodniej?—Ażeby zwyciężyć Europę własną jej bronią,—odpowiada p. Lengyel ustami bohatera sztuki. Wspaniały, rycerski zamiar! Widmo cofniętych w biegu dziejowym krucjat mgli się przed rozszerzoną z przerażenia źrenicą wyobraźni. Lecz cóż dalej, jakie będzie jutro owego zwycięstwa? Autor nie odsłania przed nami nowych źródeł samostarczalności. Czyli genjusz potęg twórczych ma zagasnąć? Czy owa przyszła zwycięska Japonja, w pojęciu i formach „Tajfuna" zaklęta, zrozumieć i udźwignąć zdoła prawieczny Eschylowy mit o nadludzkim czynie Prometeusza? Tego nam autor nie wyjawia, każe podziwiać solidarność, patrjotyzm i gotowość poświęcenia w organizacji Japońskiej, ale nie mówi, z jakiego słońca wiary te wszystkie promienie duszy strzelają i w jakim krysztale czynu się załamują.

Cóżby nas obchodził patrjotyzm Greków starożytnych, gdyby po bohaterstwie Salaminy nie nastąpiła epoka Peryklesa, rozkwit Sofoklesów, Fidjaszów i Platonów?

Wielkość czyjejś ojczyzny, wielkość jakiejkolwiek kultury nie może polegać na tym, by ojczyznę cudzą zgnębić, aby inną kulturę złamać. Lengyel, wbrew założeniom swej sztuki, nie zdołał przekonać nas o wyższości moralnej Japończyków, rozumie się ciągle Japończyków takich, jakimi odmalował ich w „Tajfunie". Ich bohaterstwo nas zdumiewa, ale nie wzrusza, nie przejmuje, tym mniej zaś nie porywa. Tokeramo, pokryjomu ograbiający Europę z nabytków wiedzowych i nieprzyczyniający się, *w ramach akcji dramatycznej*, niczym do wzmożenia jej tętna kulturalnego, jest typem, absolutnie pozbawionym piętna powagi duchowej; a bohaterska służba jego w usłudze ojczystej idei, ze stanowiska ludzkości, jest tylko—*heroizmem pasorzytnictwa*. To też istotnego dostojeństwa duszy, istotnego rozmachu i prawdziwie wstrząsającego boha-

terstwa więcej znajdziemy w najbłahszym epizodzie wojny Mandżurskiej lub w pracy kolonizacyjnej na polach Sachalinu, niż w całych 4-ch aktach węgierskiego elaboratu, przekazanego przez Berlin, a ostemplowanego prez „Kurjer Warszawski".

Publiczność polska, niesłychanymi w Warszawie trofeami wieńcząc sukcesy Solskiego w dramatach Nowaczyńskiego, nie pozwoliła płytkiemu wzmiankarstwu wmówić w siebie moralnej oraz artystycznej *grandezzy* „Tajfuna". Są to reakcje ze strony ogółu pocieszające i znamienne. Zadaniem prasy niezależnej będzie współdziałać z tymi odruchami samodzielności, ożywiać je, potęgować i uświadamiać w kierunku zupełnego wyzwolenia z pod narzutliwej opieki płatnego reklamiarstwa.

*W. Rzymowski.*

# Z PRASY.

## Z prasy polskiej.

* *Goniec*, ubierający kwestje najpoważniejsze w kolory krzyczącej sensacji, uderza artykułem p. J. Bełcikowskiego w wielki dzwon alarmowy, z powodu grożącej ruiny kultury polskiej na „kresach południowych". Godzimy się z p. Bełcikowskim, że istotnie niebezpieczeństwo jest wielkie.

> W samej rzeczy, dość spojrzeć badawczo na ten wielki chociażby płat ziemi, między Kamieńcem a Płoskirowem, aby przyjść do tego wniosku, iż misja cywilizacyjna Polski już ma się tam ku końcowi.
>
> Wprost przeliczyć już trudno, ile tam majątków w ręce obce przeszło, te zaś, co w rękach jeszcze polskich, to obsadzone omal nie wszystkie Żydami.

Trudno nam jednakże podzielić zdanie autora, jakoby winowajcami ruiny owej byli przedewszystkim Żydzi.

> Niech panowie kresowi nie tumanią Korony, mówiąc, iż bronią narodowości polskiej i wiary polskiej, bo to fałszem jest. Ale nich się w piersi uderzą i powiedzą otwarcie: bronimy wiary żydowskiej i żydowskiego ludu.

Więc jakiż stąd wniosek dla działań praktycznych? Oto, nawołuje autor:

> Korona niech się nie bawi w sentymenty i w poezję ukraińską, ale niech zorganizuje kontrolę silnej ręki i poleci jej piętnować najskrajniej nietylko tych,którzy ziemie, lasy i wody w ręce żydowskie oddają i w ten sposób, lud ostatecznie demoralizują i imię Polski nienawistnym czynią.
>
> Żałować tu nie ma kogo! Tu się nikt nie smuci! Tu o ucisku mówią, ale go nie czują. Jak dziady jękną chwilami dla pozoru, poza tym bawią się w najlepsze. Upadli do tyla, że po dworach polskich tylko i słychać: „hajda trojka" i żydowskie gramofony!
>
> Naprzód więc, naprzód — Warszawo! Spójrz prawdzie w oczy śmiało! Przestań się łudzić nareszcie. Ten kraj, który od wieków trzech nic prócz hańby nam nie niesie, kraj Żółtych Wód, Piławic, Targowicy, Żubrów i t. d. nie słówek czułych, nie sentymentu, ale silnej, żelaznej ręki wymaga.

Pomijamy zwrot autora: „tylko i słychać", będący oczywistym rusycyzmem i świadczący, że kultura polskości, w której obronie z taką krewkością staje „przeciw nieprzyjaciołom, w nim samym już się zachwiała pod zalewem żywiołów kresowych; natomiast, skrupulatnej analizie poddać by należało ów projekt zalecanej przezeń „polityki silnej i żelaznej ręki", ręki,grożącej w stronę Żydów.

> Już setki żydów tu się wzbogaciło, chłop — żaden!
>
> W porównaniu bowiem z tym, co się tu dla żydów robi, dla ludu nic się nie robi.

Wszystko to są uwagi bardzo cenne i słuszne; wszakże lękamy się, aby jedynym nie stał się ich rezultatem ów wniosek przysłowiowy: „A więc bij żyda!"

* *Tygodnik Suwalski*, z racji zakończenia roku szkolnego, poświęca ostatnie dwa numery stosunkom szkolnym. W Nr. 24 znajdujemy naczelny artykuł „Maturzystom i maturzystkom", w Nr. 25 zaś: „Akt zamknięcia roku szkolnego w Szkole Handlowej", (Sprawozdanie polskiej Szkoły Handlowej w Suwałkach za rok 1909—10), (Wystawa Szkolna) i „Akt zamknięcia roku szkolnego w 7 klasowym zakładzie naukowym żeńskim p. Żulińskiej". Ze sprawozdania widać, że polska uczelnia w Suwałkach dobrze prosperuje, pomimo że się opiera na ludności niecałych dwóch powiatów—Suwalskiego i Augustowskiego (litwini dzieci swych do szkoły polskiej nie posyłają).

Artykuł „Maturzystom i Maturzystkom" zawiera szereg refleksji ciekawych na temat matury szkół polskich:

> Biedna ta szkół polskich matura, jak dziecię rodziców nieślubnych, pozbawiona praw, nim świat ujrzała, ale droga, bardzo droga dla tych, co ją otrzymali. Nie potrząśnie nią dumnie młodzieniec, by go do koryta (coprawda, mocno wyjedzonego) dopuszczono, ale schowa ją na serce i pójdzie torować sobie drogę przez życie gołą ręką, nie opancerzoną przywilejami, pójdzie na drogę pracy twórczej, jedynej otwartej dla umysłów niestemplowanych.
>
> Co powiemy mu na drogę?
>
> Nie mając pieczątki urzędowej, możemy być otwarci.
>
> — Niewiele daliśmy ci wiadomości pożytecznych: Gdy rówieśnik twój, Anglik, lub Amerykanin, przygotowuje się w szkole do życia praktycznego i każda godzina podnosi jego rozwój, ty musiałeś lwią część swej pracy poświęcić na opanowanie dwuch języków, oraz wyuczenie się czytania napół z płaczem „Märchen" i „exercices" w dwuch innych; musiałeś wtłaczać w swą mózgownicę mnóstwo cudzych myśli, cudzych zdań i spostrzeżeń, nikomu niepotrzebnych prawideł gramatycznych, dat i nazwisk. Staraliśmy się zmniejszyć, o ile się dało, ten balast twej umysłowości, ale pieluchy, które nam dano zamiast praw, pozwalają co najwyżej pocichu wzdychać do ideałów zamorskiej pedagogji.
>
> — Niewiele zrobiliśmy dla zahartowania twego charakteru, bo szkoła, w której spędziłeś swe lata młodzieńcze, sama jest młodą, i bez wzorów do naśladownictwa, bez światłej i życzliwej rady, samodzielnie musi wyszukiwać dróg najlepszych do doskonalenia się; już to samo jednak, że czuje swe braki, że do nich się przyznaje, daje gwarancję, że następcy twoi będą coraz lepiej przygotowywani do walki życiowej.
>
> — Niewiele zrobiliśmy również dla utorowania ci drogi dalszej przez życie.
>
> — Ale daliśmy ci miłe wspomnienie dzieciństwa,bo pamiętaliśmy swoje, zatrute; ty czułeś się w szkole spokojnym, swobodnym, zadowolonym, otaczała cię atmosfera życzliwości i szczerości; ty z żalem opuszczasz tę szkołę, z której my wydostawaliśmy się z uczuciem ulgi i słowami przekleństwa minionym latom;
>
> — Ale daliśmy ci nasze mienie, bo szkołę twoją utrzymują jedynie nasze składki i ofiary;
>
> — Ale daliśmy ci nasze serce; nie było w ziemi naszej bardziej ukochanego dzieciątka, niż twoja szkoła.
>
> — Nie żądamy od ciebie wdzięczności. Mamy, natomiast,prawo żądać, abyś z czasem następnemu pokoleniu dał mu i serce i mienie, abyś usunął te braki, których my zwalczyć nie zdołaliśmy.
>
> — Biada ci, jeżeli zmarnujesz, coś otrzymał, biada ci, jeżeli tym, co po tobie przyjdą, dasz tylko to, coś wziął od nas; biada ci, jeżeli następnemu pokoleniu nie dasz więcej, niż myśmy tobie dać mogli.
>
> — Wręczając maturę, nie dajemy ci przywilejów i jakichkolwiek opartych na nich pretensji; wpatrzony w ideały, które twą szkołę stworzyły, idź na drogę znoju i pracy, na której nie wolno ci ustać.

* Polityka Watykanu straciła całkiem poczucie aktualności; przestała się orjentować w warunkach czasu i z uporem usiłuje stosować do żywej fali zadań bieżące-

go życia średniowieczne formuły zastoju. Nic przeto dziwnego, iż naród, pragnący żyć, budząc się pod hasłami kultury do pracy rozwojowej, kruszy z bezwzględnością instynktu samozachowawczego jarzmo klerykalne. W takim właśnie stanie walki otwartej z Watykanem pozostaje dzisiaj Hiszpanja, wstępująca na tory historycznego odrodzenia. Hiszpanja zaniedbała wiele w ciągu ostatnich stuleci swych dziejów i wiele ma przed sobą do zdobycia. Polska w dziejach utraciła nie równie więcej, klerykalizm bowiem nie tylko ją przywiódł do uwiądu kulturalnego, ale i zabił politycznie; Polska do odzyskania ma nierównie więcej od Hiszpanji, a jednak niema odwagi stanowczo i szczerze wypowiedzieć na całym obszarze życia społecznego nieubłaganą walkę jarzmu Rzymskiemu, które ją dusi od wieków. A jednak, wymowa faktów jest niedwuznaczna. „Będziemy niebawem jedynym krajem na świecie—pisze *Kurjer Poranny*, w którym klerykalizm rządzi wszechwładnie, jedyną prawdziwą „Prowincją Rzymską”.

Czasy ostatnie — pisze tenże organ — wywoływały zjawiska emancypacji wolnomyślnej krajów zachodnich, w których wpływ Rzymu dochodził do niepospolitej potęgi: najsensacyjniejszą niespodzianką jest jednak odrodzenie się Hiszpanji, kraju zagrzęzłego w najciemniejszej reakcji, aż po czasy ostatnie, kraju, który wydał posępną, iście średniowieczną postać kardynała Merry del Val, sprawującego istotne rządy w Watykanie za obecnego Pontyfikatu, — kraju, którego władza, z poduszczenia żywiołów reakcyjnych, nie zawahała się u progu wieku dwudziestego kazać rozstrzelać jednego z najwybitniejszych obywateli. Wyrok śmierci, wykonany na Ferrerze, wydał stokrotne plony, przewyższające wszystkie nadzieje.

Imię prezesa rządu madryckiego, Canelejasa, nie należy już tylko do hiszpańskiej historji: zajmie pamiętne miejsce w dziejach cywilizacji. Doprowadził on do ogłoszenia równouprawnienia religijnego i do wypowiedzenia posłuszeństwa watykańskiemu sekretarjatowi stanu. Hasła wolności i demokratyzmu, które rozległy się lat temu pięć w północno wschodnich stronach Europy, odbijają się teraz echem pod inną formą na jej południowo-zachodnich krańcach. Canelejas postanawia „ubrać w szatę prawa, prawie wszystkie możliwe żądania socjalizmu“, a monarchję „unarodowić i zupełnie zdemokratyzować“, program swój nazwał „rewolucją z góry“. Ale jak zawsze na rewolucję, pod hasłem wolności i demokratyzmu, odpowiada kontrrewolucja niewoli i teokratycznej oligarchji. To też i w Hiszpanji przygotowuje się walka domowa, na którą zwrócą się oczy całego świata. Klerykalizm potrafi być gdy trzeba „żywiołem przewrotu“ nie mniej bezwzględnym niż rewolucjoniści lewicy.

Walka, które wreszcie wybuchła w Hiszpanji, jest związana tysiącznymi nićmi z walką, która dziś toczy się wszędzie o wolność dusz i ciał, o równouprawnienie myśli i czynu. Nietylko Rzym jest dziś uosobieniem ciemnoty wieków, walczącej z wschodzącym świtem jutra. Teokratyzm, pod jakąkolwiek rozwija się formą, wyznaniową czy państwową, jednakie ma stanowiska, jednakie środki i metody działania. On jest źródłem wszelkiego rodzaju ograniczeń wolności i równości, on jest przeszkodą w rozprzestrzenianiu światła i ugruntowania postępów ludzkości... To też gdziekolwiek przejawi się potężne z nim zmaganie się sił nowych, wszyscy pracownicy nowego jutra mają prawo mówić o tej walce: „nostra res agitur“... — „o naszą także idzie tam sprawę...

# Z prasy rosyjskiej.

* *Kijewskija wiesti* poświęcają pamiątce Grunwaldzkiej artykuł pełen głębokiego odczucia doniosłości tej uroczystej chwili:

Umilkł już pradawny dzwon Zygmuntowy na wieży Katedry wawelskiej, zwiędły kwiaty, znikły chorągwie czerwono-białe i biało-niebieskie. Kraków znów stał się milczącym relikwiarzem wieków—uroczystości Grunwaldzkie minęły.

Niespodzianie, po zjeździe w Sofji, u stóp pomnika Władysława Jagiełły, w polskim Krakowie, odbył się „nieurzędowy”, „nielegalny”, zdaniem *Nowego Wremi*, zjazd słowiański. Prócz gospodarzy—polaków ze wszystkich dzielnic polskich, byli tu i postępowcy rosyjscy, i czesi, krórzy przypomnieli sobie, że ich bohater narodowy Żyżka walczył pod chorągwiami Jagiełły i Witolda, byli Słowacy i Słoweńcy. Znaleźli się też i sprzyjający polakom Francuzi i liczne deputacje węgierskie.

Jako przeciwwaga wobec ziejącym ku Polsce nienawiścią wyciom hr. Bobryńskiego w Sofji, u podnóża pomnika zwycięzcy na polach Grunwaldu—godła Polski historycznej—ozwały się słowa Rodiczewa i prof. Pogodina, że „jedna tylko istnieje sprawiedliwość dla Rosji i Polski” i że mówcy „życzą narodowi polskiemu rozkwitu i wolności”... Też same życzenia wygłaszały usta słowian, francuzów, anglików i madziarów...

A owe rzesze ludu polskiego, zdaleka przybyłe do Krakowa na święto narodowe, świadczyły, swą kulturą, świadomością chwili, równowagą oraz powstrzymaniem się od krzykliwych uniesień, że naród Polski żyje, że czyni postępy i że przed obliczem historji cierpi straszną krzywdę—i że krzywdę tę naród tai głęboko w seru, i że służy mu ona za bodziec do pracy dalszej, bez względu na przeszkody, zagradzające drogę ku wolności.

Nie rozumieją tego tylko hakatyści i rosyjska czarna setnia, grożąca kłonicą obcoplemieńcom—„buntownikom, co niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Atoli, jeśli polacy nic nie zapomnieli, to jednak wielu rzeczy zdążyli się nauczyć. Jubileusz Grunwaldzki przypomniał Polakom wspaniałą przeszłość, stawiąc zarazem przed oczy nakazy owej przeszłości. Z pomroki dziejów ozwały się słowa przyrzeczeń, danych przez Polaków Litwinom i Rusinom (Mało i Białorusom) przyrzeczeń pomocy w potrzebach i niebezpieczeństwie.

I aczkolwiek po unji w Horodle zostało tylko wspomienie, gorliwie przez litewskich oraz ukraińskich szowinistów opluwane, to niedawne uroczystości Grunwaldzkie uświęciły ją szlachetnym uczynkiem.

Narodowi Litewskiemu, pozbawionemu u siebie w ojczyźnie wszelkich szkół rodzinnych a tym więcej katedr uniwersyteckich, Polacy ofiarują katedrę języka litewskiego na Wszechnicy Jagiellońskiej. Na cel powyższy książęta Lubomirscy przeznaczyli już 42 tysiące koron; ofiary dalsze nie dadzą czekać na siebie. W prasie polskiej podnoszą się już głosy, domagające się podobnej fundacji dla Białorusów. Poczęła się w Krakowie usilna agitacja na rzecz polsko-rusińskiej zgody, w drodze ustępstw wzajemnych.

Jeżeli uda się zażegnać waśń między Polakami a Ukraińcami, jeśli ucichną polsko-litewskie swary nad Niemnem, w historji tych narodów zakwitnie nowa era. Dalecy jesteśmy od nadziei rychłego ziszczenia się owych zbawczych usiłowań, niemniej, życzymy hartu i wytrwania tym, co podejmują ten trud olbrzymi na barki w imię ideałów wszechludzkich.

A tymczasem—komory rosyjskie konfiskują wizerunki Jagiełły, w dniach święta Grunwaldu władze zamykają szkoły polskie w gub. Lubelskiej; modlić się i świętować podczas jubileuszu nie zabraniano w Królestwie Polskim tylko dlatego, że, jak zapewnia pewien dostojnik w niemieckiej gazecie Petersburskiej, w ostatnich dniach, wskutek zawarcia przymierza z Japonją, między Berlinem a Petersburgiem nastąpiło oziębienie i żądaniu dyplomacji Berlińskiej, aby nie dopuścić do żadnych obchodów zwycięztwa pod Grunwaldem w Polsce, nie stało się zadość.

Tylko dlatego...

# KRONIKA.

KURSY TOWARZYSTWA PSZCZOLNICZO-OGRODOWEGO w Warszawie, Wiejska 12 nadesłały nam sprawozdanie z działalności w r. ubiegłym oraz zapowiedź pracy na rok bieżący:

Kursy dziesięciomiesięczne.

W lipcu kończą się 10-miesięczne kursy ogrodniczo-pszczelnicze, rozpoczęte w październiku r. 1909. Na kursy uczęszczało kobiet 40, mężczyzn 4, czasowo kobiet 20, mężczyzn 6, ogółem osób 70. Znaczna liczba słuchaczek i słuchaczy miała przygotowanie szkół średnich, lub wykształcenie domowe, stojące na tymże poziomie. Wykłady biegły przez cały ciąg kursów z przerwą kilkutygodniową na święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy.

Sadownictwo wykładali pp.: E. Jankowski i R. Chajkowski, godzin 49, warzywnictwo—p. M. Piechowski, godz. 50, drzewoznawstwo — p. P. Hoser, godz. 32, kwiaciarstwo gruntowe—p. M. Jankowski, godz. 51, kwiaciarstwo szklarniowe — pp. J. Gebethner i P. Hoser, godz. 39, pszczelnictwo—p. S. Brzusko, godz. 52, botanikę p. Gorlaczkowski i p. W. Zebrowska, godz. 108, łącznie z zajęciami praktycznemi z mikroskopami, chemię z nauką o nawożeniu pp. J. Jabłoński i E. Jankowski, godz. 57, miernictwo — p. A. Ponikowski, godz. 40, łącznie z zajęciami praktycznemi na gruncie, naukę o szkodnikach i chorobach roślinnych — p. K. Kulwieć, godz. 20. Ogółem ogrodnictwo wraz z naukami pomocniczemi zajęło godz. 446, pszczelnictwo zaś godz. 52. Po za tem odbywały się stale zajęcia praktyczne z ogrodnictwa i pszczelnictwa w ogrodzie przy ul. Wiejskiej, za rogatką belwederską i w Pszczelinie. Odbył się także cały szereg wycieczek botanicznych i ogrodniczych pod kierunkiem uauczycieli.

Plon kursów niewątpliwie będzie poważny. Kierownicy rzadko się spotykali z opieszałością, zato liczne mieli dowody pracowitości, prawdziwego zamiłowania i chęci szczerej służenia ogrodnictwu i pszczelnictwu.

Nowy kurs rozyocznie się 1-go października.

Kursy pięciodniowe zdobnictwa.

Kursy 5-dniowe trwały od 1-go do 5-go lipca. Kierowniczką ich była p. M. Rzącówna. Uczęszczało na nie 23 osoby, przeważały słuchaczki. Program całkowicie był wyczerpany: począwszy od wiązanek najprostszych, stopniowo zajmowano się przygotowaniem wiązanek ślubnych, wieńców, koszy, na zakończenie przystrojono stół biesiadny kłosami zbożowymi, chabrami i makami. Lipiec nie był sprzyjającym dla tych kursów, upały nie pozwoliły przechowywać ozdób kwiatowych i urządzić z nich pokazu, jak to czyniono innych lat we wrześniu. Prócz tego w roku bieżącym, skutkiem długotrwałej wiosennej suszy, w lipcu wprost nie mieliśmy w Warszawie kwiatów własnych, trzeba więc było zdobywać je dla kursów z wielkimi trudnościami i ze znacznym nakładem kosztów. Pomimo tego, od myśli przewodniej, używania tylko kwiatów żywych, nie odstąpiono.

Kursy sześciodniowe dla ogrodników i pszczelarzy.

Kursy zazwyczaj były urządzane w pierwszej połowie czerwca, przybywali na nie najliczniej gospodarze, korzystając z czasu wolnego przed sianokosami. W roku bieżącym nie mogły być w tej porze urządzone, gdyż pozwolenie władzy nadeszło dopiero w lipcu, skutkiem tego zarząd Towarzystwa postanowił skorzystać z otrzymanego pozwolenia dopiero we wrześniu, kursy te rozpoczną się 12-go września i trwać będą do 17-go.

Kursy dziesięciodniowe przerobów owocowych i warzywnych.

Kursy te, jak zwykle, odbędą się we wrześniu, początek dn. 20-go, zakończenie dn. 29-go. Program obejmuje przygotowywanie suszów, konserw, kompotów, słowem, sposoby utrwalania i przerabiania owoców i warzyw będą przedstawione w całym zakresie współczesnego stanu tej umiejętności praktycznej.

KONGRES POKOJU A FINLANDJA. Na obecnym kongresie pokoju w Sztokholmie powzięto następującą uchwałę w sprawie Finlandji:

„Uznając, iż żadne porozumienie nie może być zmienione przez uchwałę jednostronną jednej ze stron, które się porozumiały, oraz, że stosunek pomiędzy Rosją a Finlandją opiera się na traktach prawnych, uznających finlandczyków za naród, kongres wyraża żal głęboki, iż Duma państwowa i rząd zmieniły porozumienie prawne bez zgody narodu finlandzkiego.

„Kongres ufa, iż naród rosyjski, uświadomiwszy sobie własne interesy i życzenia całego świata cywilizowanego, nie zaniedba przywrócić porozumienia prawnego pomiędzy Cesarstwem Rosyjskiem a Wielkiem Księstwem Finlandzkiem w myśl praw stron obu i dla ich wspólnego dobra".

REPRESJE PRASOWE. Decyzją Izby sądowej zawieszony został tygodnik „Trybuna". Redaktor tego pisma skazany został na karę administracyjną 200 rb., względnie 2 miesiące aresztu za wydrukowanie w Nr. 16 „Trybuny" oceny literackiej utworu Struga: „Historja jednego pocisku".

W redakcji pisma codziennego „Dzień" policja skonfiskowała cały pozostały nakład Nr. 195 tego pisma. W Wilnie, w redakcji białoruskiej gazety „Nasza Niwa", dokonano rewizji, zabrano kilka nadesłanych rękopisów. Redaktor-wydawca litewskiego pisma „Wilians Zinios" skazany został na 100 rb. kary.—Redakcja „Gońca" skazaną została na 200 rb. kary za wydrukowanie wiadomości p. t. „Uczczenie 200-lecia pułku keksholmskiego".

Skonfiskowano w Petersburgu Nr. „St.-Pet. Zeitung" z d. 30 z. m. Redaktora pociągnięto do odpowiedzialności.—Dokonano rewizji w redakcji pisma rosyjskiego „Wozrożdenje", poświęconego sprawom robotniczym. Aresztowano sekretarza redakcji.

ZGON MUZYKA. Sztuka nasza poniosła cios nowy. W Obornikach, w Poznańskiem, zmarł młody, utalentowany muzyk, pianista i kompozytor, ś. p. Wojciech Gawroński.

Urodzony d. 27-go kwietnia 1868 roku na Litwie, w powiecie trockim, w Sejmnach. Od wczesnej młodości, okazywał wielki talent i zamiłowanie do muzyki.

Na fortepianie pierwszych początków gry udzielała mu babka, następnie ojciec, a pomimo to, iż lekcje te były niesystematyczne i dorywcze, chłopiec już w 12 roku zaczął koncertować.

Gimnazjum skończył na Krymie, w Symferopolu, poczem wstąpił do konserwatorjum warszawskiego, gdzie drowadził studja pod kierunkiem prof. Strobla (fortepian), prof. Rogulskiego (harmonja) i Noskowskiego (kompozycja).

Dalsze studja prowadził w Wiedniu, gdzie przez pewien czas korzystał z rad Brahmsa.

Działalność kompozytorska świadczy o szczerym talencie przedwcześnie zgasłego muzyka. Pieśni jego mają dużo melodyjności.

Kilkanaście utworów na fortepian posiada nie mało wartości. Jeden z trzech kwartetów smyczkowych uzyskał odznaczenie na konkursie im. Padarewskiego w Lipsku.

Nadto z pod pióra Gawrońskiego wyszły dwa poematy: „Antygona" i „Samuel Zborowski", na chór i orkiestrę, oraz opera w 3 aktach „Marja".

Przez czas powien ś. p. Wojciech Gawroński zajmował stanowisko profesora gry na fortepianie w szkole muzycznej w Orle.

Szkoda młodego talentu, który szedł tak piękną drogą i zgasł wcześnie.

## Książki nadesłane do Redakcji:

— Kazimierz Przerwa-Tetmajer: „Szkice" z portretem autora. Warszawa 1910. Wydawnictwo księgarni Sadowskiego „Nowości Literackie t. 35 str. 194.

— E. Wasmann T. J. „Trzy odczyty o Ewolucji"; tłumaczone z niemieckiego z upoważnienia autora; Warszawa 1910, skład główny w Adm. „Prądu"; str. 78.

## OGŁOSZENIA.


# Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Szech: **Na sąd was wzywam** Cena k. 30

Jerzy Kurnatowski: **O Solidaryzmie** „ 20

E. St. Rappaport: **Radykalizm** „ 20

Stefanja Sempołowska: **Z dna nędzy** „ 25

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy** „ 75

**Popierana przez T-wo Kultury Polskiej**

## VIII klasowa Szkoła filologiczna

## (z oddziałami realnymi)

**M. KRECZMARA** (założona przez Jana Kreczmara)

**Kaliksta 8. tel. 75-31.**

W roku szkolnym 1910—11 czynnych będzie sześć klas filologicznych, siódma realna i klasa wstępna. W razie napływu dostatecznej liczby kandydatów otworzona będzie klasa podwstępna.

Kancelarja przyjmuje zapisy codziennie, oprócz świąt, w godzinach szkolnych.

Egzaminy wstępne 25 sierpnia. Początek lekcji 30 sierpnia.

Wpis roczny wynosi: kl. podwstępna rb. 50, klasa wstępna rb. 80; I i II rb. 100; III i IV rb. 120. — Pozostałe rb. 130.

## PISMA
## Aleksandra Świętochowskiego:

**Tom I:** Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

**Tom II:** Tragikomedja prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona. Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb 1 k. 20.**

**Tom III:** Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb 1 k. 20.**

**Tom IV:** Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

**Tom V:** Trylogja Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

**Tom VI:** Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

**Tom VII:** Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

**Tom VIII:** Duchy. Część 4, 5 i 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*



**Prenumerata „Prawdy"**

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.





Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.